

ANIELA KORNGUTOWNA.

M E T Y.

ZBIOR NOWEL.



W POZNANIU.
NAKLADEM I CZCJONKAMI W. SIMONA.
1896.

No 22.

1010588

ANIELA KORNGUTÓWNA.

MĘTY.

ZBIÓR NOWEL.

IV. 412



Męty.

Fragment.

Artystyczne dusze.

Szczęście sercu — duszy spokój.

Chybiony interes.

Niepoprawny.

W noc styczniową.

W rezerwie.

Nerwy.

Nad Wisłą.

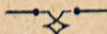
W POZNANIU.
NAKŁADEM I CZCIONKAMI W. SIMONA.
1895.

No 22.



462822

SPIS RZECZY:



Męty	Strona	1
Fragment	"	17
Artystyczne dusze	"	27
Szczęście sercu — duszy spokój	"	36
Chybiony interes	"	43
Niepoprawny	"	70
W noc styczniową	"	78
W rezerwie	"	86
Nerwy	"	89
Nad Wisłą	"	96



1022561

01777/11

101

MĘTY.

OPOWIADANIE.

Kiedy otrzymałam dekret na podmistrzynią o rocznej pensyi 280 zlr., miałam lat dwadzieścia cztery.

Znałam się doskonale na manipulacyi pocztowej, będąc przez poprzednich sześć lat ekspedytorką na większych pocztach; telegrafowałam prędko, czytając nawet ze słuchu; ale w chwili, kiedy zaczynałam się zagospodarowywać, nie wiedziałam zgoła, czy ziemniaki gotują się na sucho, czy w wodzie. O najęciu służącej nie mogło być naturalnie mowy. Bieda jednakże nauczyła mnie wielu rzeczy i w pół roku, częściej już mogłam jadać ciepłe obiady.

Obowiązki swoje spełniałam ściśle; przyjeżdżający zatem na s k o n t r o komisarz, nie przestraszał mnie wcale. Odjechał rychło, a ja nie czułam nikogo nad sobą. Osiągnęłam tedy nareszcie to, czego pragnęłam tak gorąco. Byłam niezależną, ja, co tak długo podlegałam opiekuńczej władzy szwagra i siostry.

Wiele swobody, co prawda, nie miałam, będąc zarazem gospodynią i kucharką, pocztmistrzynią i ekspedytorką; własną szwaczką i krawczynią z oszczędności. To też krótko przystrzygłam włosy, aby nie marnować czasu na fryzurę.

Sama — bo za cóżbym żywiła u siebie starą jaką krewną, któraby zechciała okryć swą powagą płocze moje lata (a byłam już pełnoletnią, mając lat osmnaście), wiodłam ży-

cie kobiety, która „stoi o własnych siłach.“ I jak z konieczności uciełam włosy, tak i musiałam nie dbać, co mówią o mnie ludzie: że mieszkam sama, a nawet przyjmuję wizyty panów.

— Już znowu jakiś kawaler na poczcie.

Wiedziałam, że słowa te bywają przytaczane we dworze i na plebanii, może nawet i w karczmie, a chociaż mi to przykrem było, nie zmieniłam nic w trybie życia. Pozwoliłam przyjeżdżać panu Adolfowi, a co do pana Karola, tego wyrzucić za drzwi nie mogłam, skoro nie zważając, że nie odpisuję na jego listy, czuł się w obowiązku przypomnienia mi, że żyje i że uzyskał pozwolenie starania się o moją rękę.

Czy i Adolf przyjeżdżał w takich zamiarach, nie mogłabym była i wtedy na to pytanie odpowiedzieć. Nigdy o miłości nie mówił, wzajemności wzbudzić się nie starał, owszem był szorstki w obęjsciu, a nawet arogancki.

A jednak przyjeżdżał, nie zważając na wiosenne deszcze, spieki w lecie, jesienne wiatry i mrozy w zimie; wyszukiwał dnie najbardziej niepogodne, jakby chciał okazać, że jestem dlań magnesem przyciągającym.

Pan Karol nie przyjeżdżał tak często, co trzy miesiące ukazywał się w proęgach moich, ale nie jako gość niespodziewany. Zwykle poprzedzała go przesyłka perfumów, pomadek

kwiatów, przyczem wysyłał telegram z zapytaniem, czy może przybyć. A chociaż zdarzało się, że go odpraszałam, nie chcąc go widzieć, on odpowiedź moję puszczał w niepamięć i zjawiał się... by mi przypomnieć dane mu przyrzeczenie.

Odzywał się wprawdzie we mnie głos sumnienia, potępiający takie postępowanie moje z konkurentem; czułam, że takie trzymanie go w rezerwie nie jest szlachetnem; potępiałam się sama, a nie mogłam zdobyć na coś się stanowczego.

Czemu to przypisać? Po dziś dzień nie wiem! Nie bałam tajemniczego gruntu mojej duszy, ani chciałam skalpelem ranić delikatnej tkanki mózgu i serca. Dbalam bardziej o to, by nie zepsuć sobie cery i wyglądać dobrze i dla tego trzeba mi było unikać zmartwienia i nie bardzo zastanawiać się nad życiem.

Bywały atoli chwile, kiedy z konieczności zastanawiałam się nad niem, a działo się to zawsze wtedy, gdy otrzymałam list od siostry, w którym radziła usilnie oddać rękę panu Karolowi.

Nie spieszyłam się z tem, myśli mając wyłącznie zajęte Adolfem, który regularnie co drugi dzień przyjeżdżał. Bawiła mnie jego szorstkość, to jego „dobrze“ zamiast „dziękuję.“ Nie miałam nic przeciwko temu, że kazał mi zamykać okno, gdy je otwierałam; nie obrażałam się nawet wtedy, kiedy kazał, bym mu cygaro zapaliła. I byłabym sądziła, że jestem zupełnie oryginalną w swoim upodobaniu, gdybym sobie nie była przypomniiała bohaterki pewnego francuzkiego romansu. Tamta kochała szalenie młodego rozpustnika, który utrzymując stosunek miłosny, wyłudzał od niej pieniądze. Zdarzało się często, że wymaganiom jego nie mogła uczynić zadość, nie chcąc brać od męża więcej, niż jej daje „na szpilki.“ Wtedy ów wielbiciel targał ją za włosy tak długo, dopóki wymaganej sumy nie dostarczyła, lub dostarczyć nie obiecała.

Czy w ten sposób znieważycbym się pozwoliła — nie wiem, ale czasem zdawało mi się, że mógłby mnie uderzyć; jabym go pocałunkiem rozbroiła.

Wyglądać to może na szaloną z mej strony miłość, a może nią i była, lecz nie chciałam się i nad tem zastanawiać. Dawałam się unosić wrażeniom, nie badając z kąd pochodzą. Nie będąc jednak z usposobienia bezmyślną, lubiąc czytać poezye i dobre powieści, przejmowałam się podniosłym nastrojem tego lub owego poety i zapamiętałam doskonale sentencją jednego z nich, że: „kobieta daje miarę swej moralnej wartości w wyborze ukochanego przez nią mężczyzny.“

Mój wybór świadczył bardzo na moję niekorzyść, bo Adolf, jak ludzie o nim mówili, był zerem w hierarchii społecznej, zerem pod względem towarzyskim; ukochany tylko synek swego ojca, który szukał dla niego posażnej żony. Wiedziałam i o tem, że ojciec jego, miłem okiem nie patrzył na częste w te strony wycieczki swego syna i jak mógł, odwoził go tam, gdzie były posażne jedynaczki. Nie udawało się mu jednak i Adolfek przyjeżdżał do mnie mimo ojcowskich perwsiarzy.

Bo zakazu jeszcze nie było.

Ojciec Adolfa był snąć człowiekiem mądrym, doświadczonym, a może znał syna lepiej odemnie, bo był przekonany, iż nigdy w zamiarach swoich nie posunie się on tak daleko, by mi ofiarować swoje nazwisko.

Zaczęłam i ja nad tem raz myśleć i kiedy Adolf przyjechał, postanowiłam go wybadać.

Z pocztą dnia tego załatwiłam się rychło i opuściwszy kancelaryą, weszłam do swego pokoju, gdzie pan Adolf już się rozgościł, to znaczy, rozparł na kanapie po amerykańsku i zapalił cygaro.

— Cóż nowego w miasteczku? — spytałam go, wchodząc.

— A bo ja to za nowościami chodzę?!.. Zmarzłem brrr... nie ma tam pani wódki?

Podalam mu wódkę, mając ją zawsze w domu w zapasie dla pocztylionów.

Wypiwszy, skrzywił się i splunął.

Było to bardzo nieprzyzwoite, ale on mnie takim się podobał.

— No i cóż, wyjdzie pani za tego pana Karola? — spytał po chwili, a zaraz dodał: — Wyjdź pani za niego; będę do pani przyjeżdżał na obiady.

— Życzy pan sobie tego? Masz pan chwalebne zamiary!

— E, co tam! Wyjdź pani za niego! On ma pieniądze, a ja dziad. Albo wie pani co? Pożycz mi pięć tysięcy, a wydzierżawię jaką małą aptekę.

— Ja pieniędzy nie mam. Ożeń się pan bogato!

— Kiedy mi się żadna nie podoba. Ale wie pani — dodał zaraz, śmiejąc się — ojciec nie pozwolił mi tu dzisiaj pojechać.

Wzruszyłam ramionami.

— Nie dziękuje mi pani?

— Za co?

— Żem przyjechał.

— Sądzisz pan, żeś mi tem zaszczyt sprawił? Kobieta tylko na tem traci, gdy przyjmuje takie wizyty.

— Powiedz to pani temu panu Karolowi.

— O, ten stara się o moją rękę i czeka tylko mego przyzwolenia, aby mi ofiarować swoje nazwisko.

— I jabym pani ofiarował swoje nazwisko, ale z tego żyć nie można. Staraj się pani o lepszą pocztę, to się z panią ożenie.

Po raz pierwszy poruszył tę kwestyą. Ale to, co powiedział, tak mnie dotknęło, żeby pokryć gniew, zaśmiałam się.

— I nie wstydziłbyś się pan, gdyby mu żona dawała utrzymanie?

— Darmo chleba bym nie jadł. Staraj się pani o pocztę, gdzie są jazdy, kupimy konie, będę jeździł pocztą.

— Doskonale!

Śmiałam się; bo i jakże można było mówić poważnie w sprawie, którą on tak pojmował? Jeśli to, co mówił, było komedią, tem gorzej byłoby dla mnie, gdybym brała wszystko na seryo. Raczej rzucać słowami, jak piłką, chociaż wygimnastykować umysłu nie można było na takiej konwersacji. Adolf nie należał do inteligentnych, czytanych młodzieńców, był to nieoszlifowany... dyament.

Mogli go inni zwać gburem, zerem towarzyskiem, mnie się podobał; miałam już takie upodobanie dziwne, kapryśne lubiłam słuchać, jak, drwiąc ze wszelkich form towarzyskich, wyrażał się trochę lepiej, niż wieśniak. Zdawało mi się, że to dziki arab, którego trzeba przyzwyczaić do... wędzidla.

Serce miał dobre i czułe; z narażeniem własnego życia raz dziecko z toni wyratował; niejednemu biedakowi otarł łzy.. swemi butami, choć wiedział, że sam bez butów zostanie.

Pragnęłam oszlifować ten dyament.

W tymże czasie otrzymałam list od siostry z уведомieniem, że do mnie przyjeżdża. Donosiła mi przytem, niby nawiasowo, że był u niej Karol i zabawił cały dzień, opowiadając wiele o mojej osobie. Mogłam się domysleć, co to ma oznaczać. Biedaczysko narzekał na mnie i siostra przyjeżdżała, aby mnie „przywiesić do zastanowienia“.

Napadła mnie chęć buntu przeciw kurateli, pod którą tak długo stałam, pragnęłam się zemścić za przymus i posłu-

szeństwo tylu lat. Bez zastanowienia się, czy dobrze robię, odpisałam siostrze, że jeśli przyjeżdża, jako orędowniczka Karola, to nie potrzebuje się trudzić.

Musiałam trochę przeholować w wyrażeniach, bo w odpowiedzi na to pismo, otrzymałam od siostry tych słów kilka, na blankiecie telegraficznym skreślonych:

„Nie przyjadę, bo widzę, że drwisz ze świętych uczuć „rodzinnych tak, jak z opinii świata, która potępić Cię musi. Rób, co chcesz, odpowiesz sama za wszelkie swe „szaleństwa, od których daremnie odwieść Cię chciałam. „Dwie tylko rzeczy upewniają mnie, że mogę Cię zostawić twemu losowi, nie mieszając się do spraw Twoich: „a to: pewność, że masz rozsądek, poczucie honoru i obowiązku; a drugie: że ten arogant nigdy moim szwagrem „nie będzie.“

Szwagier dopisał poniżej:

„Pamiętaj, że dopóki jesteś zdrowa, możesz drwić ze „wszystkich; licz się z możliwością zasłabnięcia, byś kiedyś po niewczasie, żałować nie potrzebowała.“

Nie skruszyło mnie to wcale; bunt ten jawny przeciw radom rodziny postanowiłam doprowadzić do ostatecznego krańca. Tego dnia jeszcze wysłałam list do Karola, donosząc mu, że sprzykrzyły mi się jego zabiegi i radzę, by szukał szczęścia gdzieindziej.

Byłam rozgorączkowaną gniewem; gdybym była miała dwunastu konkurentów i sześć siostr, dałabym wszystkim odczuć, że mi na nich nie wiele zależy.

Sprawiało mi to chwilowo satysfakcyę, że mogę robić, co mi się podoba; wyczekiwałam tylko, w jaki sposób odpisze Karól na mój list.

Nie długo czekałam. Pan Karol, choć głupi, poznał, że za długo służył pod moimi barwami.

„Łaskawa Pani! — pisał. Wiadomość tak smutną „otrzymałem, lecz co się stać mogło, tego pojąć nie mogę „i nie przypuszczałbym był nigdy, że taką odpowiedź „otrzymam. Pisze mi Pani, że sam sobie winien jestem. „Dla czego? Oj! nie spodziewałem się tego nigdy po

„Pani, abyś mi taką przykrość sprawiła. Co ja przez to „wszystko stracił, to trudno, aby Pani uwierzyła. Dobrze „mnie Pani wykierowała! Ale nie pierwszemu mnie się „tak stało, lecz i moim poprzednikom i niejednemu Pani „takiego figla wypłatała.

„Kończę te parę słów, bo czasu nie mam; żegnam „Panią na zawsze; życzę Pani, aby Panią lepsze szczęście „spotkało, bo mną Pani pogardziła.“

Czy miałam go żałować? Człowieka, co w ten sposób pisze do kobiety, o którą się starał, którą kochał? Milszym byłby mi człowiek, który wcale pisać nie umie, ale ten styl „Co ja! stracił?“ Miałam ochotę zliczyć ile kosztowały jego przesyłki pomadek i perfumów i odesłać mu pieniądze.

Lecz uwagę i myśli moje zajął drugi list, który tą samą nadszedł pocztą.

Jedna z moich koleżanek donosiła mi, że miałyby wielką ochotę przyjechać do mnie, by zaczętej u mojego szwagra praktyki pocztowej tutaj dokończyć, jeśli bym naturalnie nic przeciwko temu nie miała.

Przystalałam na tę propozycję i w tydzień później pracowało nas dwie na poczcie.

*

*

*

Zrobiłam pauzę, bo opowiadanie następnych wypadków chciałabym uczynić bardziej obiektywnem. Już wtedy zastanawiałam się nad wszystkim uważniej; towarzystwo mojej koleżanki dodatnio w tym względzie na mnie wpłynęło.

Była to natura skłonna do refleksyi; trochę sentymentalna, ale energiczna; samoistna, choć potępiająca emancypację kobiet.

Czy była ładną, nie powiem; podobała mi się jednak, a więcej mężczyznom, niż kobietom; bardziej starszym, niż młodym. Rozsądku miała wiele, a chociaż liczyła dopiero lat dwadzieścia, można było polegać na jej sądzie o ludziach. Posiadała bowiem rzadki dar wysłedzenia w grze twarzy indywidualności i charakteru każdej osoby. Naturalnie byłam ciekawą, jak się jej Adolf podobać będzie.

Odbierałam pocztę, ekspedując ją dalej, kiedy wszedł Adolf i po zwykłym powitaniu, usiadł przed telegraficznym aparatem.

Moja koleżanka wyszła na to właśnie z pokoju i stanęła przy mnie.

Chwilowe milczenie przerwała, zwracając się do Adolfa, mimo, że go jeszcze jej nie przedstawiła.

— Czy to prawda, co fama o panu głosi, żeś pan arogant?

Zdziwiona, a przerażona, podniosłam wzrok na oboje.

On siedział, jakby niewzruszony: ona z miną niewinnej powagi wyczekiwała, co odpowie.

— Czy ja wiem? Może być!

I to wszystko! Adolf nie powiedział jej żadnej imperzynencji. Byłam zdumioną; lecz milczałam, manipulując dalej.

Usłyszałam jeszcze, jak Helenka powiedziała:

— Nie przedstawiasz mi się pan? — to dobrze! Bo i po cóż ta ceremonija! Wiem, kto pan jesteś, a moje nazwisko i imię znasz pan pewno od mojej koleżanki.

I jak dawni znajomi zaczęli rozmowę o nowościach naszego partykularza.

Nareszcie wyekspedycowałam pocztę, a ponieważ było już po urzędowej godzinie, zamknęłam kancelaryą i przeszliśmy do pokoju.

Przeskakując z jednego tematu na drugi, stanęliśmy przy miłości.

— Nie pojmuję — mówiła Helenka — jak kobieta marzy o ideałach z niebieskimi, lub czarnymi oczyma! Ideałem kobiety myślącej powinien być człowiek rozsądny, inteligentny, o którym by wiedziała, że dusza jego zdolną jest do szlachetnych i wzniosłych porywów; że w danym razie byłby gotów poświęcić się na ołtarzu świętej sprawy; że ma serce tkliwe, lecz nie słabe; słowem, że to człowiek, przed którym bez upokorzenia schylić może kobieta czoło, poddając się jego woli. Czy on ma niebieskie, czarne, czy szare oczy; wąs czarny, czy płowy; nos grecki, lub wcale nieklasyczny, mniej-
 .

dzić się swej miłości. Wstydem jej, jeśli marzy o ideale niebieskookim, a ten ideał to zero! Zero pod względem towarzyskim, zero w społeczeństwie!..

— Tak, jak ja — przerwał jej Adolf.

Milczałam; trochę z upokorzenia, a więcej ze strachu. Bałam się, że Adolf, nie przebierając w wyrażeniach, odpowie Helenie na jej długą tyradę jaką impertynencyą.

Omyliłam się jednak. Adolf, choć zrozumiał, że ostatnie słowa Helenki były pod jego adresem wydane, nie wzburzył się wcale, lecz słuchał spokojnie dalszych wywodów mojej koleżanki.

— Pana zerem nazwać nie można — odpowiedziała, gdy jej przerwał poprzednimi słowy — masz pan egzamin farmaceuty, gdy zechcesz, możesz pracować; brak panu podniety do pracy, a chwilowa beczynność nie może jeszcze być dostatecznym powodem, aby pana potępić. Sam nie zechcesz pan być na łasce ojca, bo czyż może istnieć dla człowieka większa radość, jak wywalczyć sobie samoistne stanowisko? Mężczyzna powinien się wstydzić, jeśli, mogąc zapracować na siebie, żyje z łaski ojca, pozwalając mu, aby opłacał za niego krawca, szewca i t. d. Ja kobietą jestem, a dążę do samoistnego bytu. „Praco! żelaznem nas dźwignij ramieniem!..”, zadeklamowała i urwała nagle.

Mówiła to wszystko z prostotą, a nie z miną sawantki. Potem zaśmiała się wesoło i pobiegła do kuchni, bo na nią przypadła w tym tygodniu kolej przyrządzania obiadów.

Zostałam się sama z Adolfem, ale mówiliśmy z sobą niewiele; on zdawał się być roztargnionym; we mnie odzywał się pewien żal zmieszany ze zazdrością.

— Dla czego, jakim prawem — myślałam w duszy — Helenka mogła tak mówić do Adolfa! A on dla czego milczał?

Czy potrafiła mu zaimponować?

Gdy Adolf wyjechał, wyraziłam jej swe zdziwienie.

— Trzeba wiedzieć, jak mówić z takimi ludźmi — odparła. — Zamiast schlebiać mu, wypowiadać nagą prawdę. Znasz sztukę Szekspira „Poskromienie złoŹnicy“? — dodała.

— Otóż ja ci powiadam, że podobnie, jak Petruchio zrobił z Katarzyny kobietę uległą i łagodną, można Adolfa wykierować na bardzo znośnego człowieka.

— Podjęłabyś się więc tej misji? — spytałam nie bez ironji.

— Tego dzisiaj powiedzieć nie mogę; takie rzeczy potrzebują namysłu.

— Prawda! Masz wygórowane pojęcia o miłości i małżeństwie...

— O miłości i ideałach — przerwała mi.

— Mówiłaś o poddaniu się tylko sile wyższej, inteligentniejszej.

— Mogę mieć takie zasady! Lecz ponieważ żaden człowiek, a tem mniej kobieta nie może ukształtować swego życia według własnej woli, wiedzieć nie mogę, czy, jeśli kiedy wyjdę za mąż, pan mój będzie posiadał wszystkie cechy wyższego nad poziom umysłu.

— Zkąd nabrałaś tyle rozsądku? Zimno się robi, słuchając ciebie. Jesteś nawskróś prozaiczną istotą, mimo, że pozujesz niekiedy na sentymentalną marzycielkę.

— O, jeśli marzę — zaśmiała się — to o tem, jakimi będą kobiety w XX wieku.

— Pewnie bardzo podobne do ciebie.

— Chciałabym!.. Lecz słuchaj, nie rób takiej miny potępiającej mnie. Ty powinnaś wiedzieć, że to moja zewnętrzna powłoka; w głębi duszy może płaczę nad tem, że dzisiejsze wychowanie tak nas ogołaca z tej wiary dziecięcej, a pięknej, z tej poezji, która stanowiła cudowny urok kobiety.

Rozmowa ta, utkwiała mi dobrze w pamięci i kiedy w kilka dni później otrzymałam list od Adolfa, donoszący mi, że od przyszłego miesiąca obejmuje posadę prowizora w jednej z aptek na prowincyi, coś już na kształt prawdziwej zazdrości owładnęło moją duszą.

Podaliśmy list ten Helence, by go przeczytała, a sama zatopiona niby w wypełnianiu rubryki jazdy pocztowej, skrycie śledziłam wyraz jej twarzy.

Odbiło się na niej pewne przyjemne zdziwienie.

— Powinnaś być dumną — rzuciłam, jakby od niechcenia.
 — Z czego? — spytała z naiwną miną.
 — Jeśli wpłynęłaś na tę naturę.
 — Sądzisz? Jam zupełnie innego zdania... i o ile znam świat i ludzi, mogę przypuścić, że sprawa ta, to jest zamiar Adolfa, by wstąpić do apteki, jako prowizor, była już długo przed naszą rozmową roztrząsaną, omawianą i że od decyzji zależało mało. Być jednak może, iż słowa moje zostały w czasie stosownym wypowiedziane, w chwili, kiedy umysł tego człowieka leniwy, wyczekiwał czegoś, co by go pchnęło naprzód, być może, że słowa te, wpłynęły po części na ostateczne jego postanowienie. Przypadek, traf, nic więcej. Czyś zazdrosna? dodała wesoło.

— Może.

— Żartujesz — powiedziała z przymileniem — ty go nie kochasz; wmawiasz w siebie to uczucie; wątpię nawet, czy głowa twoja, nie mówię już o sercu, w tem uczuciu odgrywa jaką rolę.

— Może potrafisz mi go wyfilozofować.

Upłynęło kilka dni; Adolf był jeszcze raz u mnie z pożegnaniem i obiecał pisywać.

Dotrzymał słowa, co mnie przyjemnie zdziwiło. Listy jego były lepiej stylizowane, jak jego ustne rozmowy. Helenka dopisywała zwykle do moich odpowiedzi słowo pozdrowienia, a chwilowe błyski zazdrości pierzchały w mem sercu pod wrażeniem jego listów.

Wprawdzie nie było w nich mowy o miłości, ani nie ka-
 zały się one domyślać tęsknoty kochającego serca; mnie jednak
 wystarczało, że pisuje, że pamięta i że myśli o mnie.

Minęły trzy miesiące; na pozór nic się nie zmieniło. Od
 siostry otrzymywałam listy krótkie, w których nie poruszała
 już kwestyi zamążpójścia, ani nie wspominała o panu Karolu.
 Odpisywałam jej, tą samą mierząc miarką, i tak czas mijał.

Nudy rozpędzał siostrzeniec księdza proboszcza ekspe-
 dytor pocztowy, bawiący tu w braku posady. Spierałyśmy się
 żartem o niego, czy przychodzi na pocztę dla mnie, czy dla
 Helenki.

Roztrzygnął o tem wyjazd Helenki, która skończywszy praktykę, chciała zdać egzamin. Zdała go dobrze i szczęśliwym trafem zaraz otrzymała posadę ekspedytorki.

Zostałam się znowu sama ze słabą nadzieją towarzystwa pana ekspedytora. Dotrzymywał mi go jednak wiernie, a nawet zanosilo się na konkury.

Winszował mi już Adolf tej partyi, bo mu pewnie ktoś o tem doniósł, a i Helenka prześladowała mnie nim ciągle.

Nie traciłam jednak humoru, żyjąc z dnia na dzień, jakby dzień następny miał mi przynieść to, czego pragnęłam.

Czy ja nawet wiem, jakie to były pragnienia? Nigdy nie przedstawiały mi się one w stale powtarzającym się obrazie.

A przecież... tak... sama nie wiem... chciałam dobrej poczty, a gdy sobie wyobrażałam, że ją dostanę, wątpiłam, czy wyszłabym za Adolfa, gdyby mi się naturalnie oświadczył. Innym razem zdawało mi się, że tylko z nim mogę być szczęśliwą.

Marzenia się snuły.

Otwierając raz list Helenki, ujrzałam włożoną wewnątrz małą kartę, a na niej wydrukowane oznajmienie jej zaręczyn... z Adolfem.

Nie zemdlałam, bo w ogóle sobie nie przypominam, czym kiedy w życiu była w tej „przyjemnej“ sytuacji: w sercu jednak uczułam dotkliwy ból, a w oczach łzy, które paliły bardzo.

Przebiegłam wzrokiem list Helenki i ogarnęło mnie jakieś wstrętne uczucie; zdawało mi się, że chętnie rzuciłabym Helence w twarz garściami błotem i naigrawałabym się z niej i z jej planów na przyszłość.

Zaczęłam raz jeszcze i to uważniej czytać jej list, a teraz już z zimniejszą krwią, mniej rozgorączkowana.

„Jeżeli w zdumienie wprawiła Cię karta, spraw się z pocztą co najrychlej, a czytaj mój list uważnie.

„Jak do tego przyszło, że jestem narzeczoną Adolfa? Węzeł zadzierzgnięty przez moje ciotkę, swatkę zawołaną, zagmatwany przez małą sukcesyą po babce, czynącą ze mnie partyą nie do pogardzenia — a rozwiązany za pomocą tezy: że skoro mężczyzna ma posadę, a kobieta choć trochę pie-

niędzy, mogą się pobrać, a będą żyli spokojnie, jak u Pana Boga za piecem.“

„Zdziwisz się, że ja kobieta myśląca, jak mnie nazywałaś pozwoliłam sobie w taki sposób rozrządzić swoją osobą i że chcę zostać żoną Adolfa?“

„Odpowiem Ci i na to. Opiekę starszych szanuję, ufając jej, a doświadczenie pouczyło mnie, że kobieta dopóki nieznużona życiem, zdrowa i młoda, powinna wyjść za mąż, aby kiedyś zbyt późno nie poznać, że rozminęła się z przeznaczeniem, że cała jej emancypacja była zewnętrzną dekoracją dość piękną, dopóki zmarszczków na twarzy nie było i samotność nie tak dokuczała.“

„Co do Adolfa, nie jest on gorszym od innych, a nawet pod niejednym względem lepiej mi się podoba. Wiem dobrze, że oboje dopełniać się będziemy doskonale i że przyszłości spokojnie powierzyć się mogę, przyjmując jego nazwisko.“

„Naszą znajomość odnowiliśmy na imieninach jakiejś jejmości parafialnej i ani przypuszczałam, że z naszych walców, mazurka i polki, utworzą ciotki modny marjaż. Wiedziałam wprawdzie już wtedy, żeś ty teraz zajęta kim innym, a o nim nawet nie wspominasz, uważając go mimo to jako coś do ciebie jeszcze należącego, widzieć w nim jednak konkurenta starającego się o moją rękę nie mogłam. Pozwoliłam tylko, by ciotka zabawiła się w swatkę, ale żart ten skończył się bardzo poważnie.“

„Nie wypadło mi więc nic innego, jak przygotować się do tego ważnego aktu z całą skrucą duszy, skłonnej do refleksyi. Jestem wolną od egzaltacyi, ale i bez sceptycyzmu; zdolną chłodno rozważać, nawet żartując szydersko może — ale wierzą mi — szanuję świętość obowiązków, które mnie czekają. Wykształcili więcćj moją głowę, o uczucia mało dbając; rządzi też mną rozsądek, nie serce. Lecz mimo to wszystko, na wspomnienie ogniska domowego, uczuwam tyle serdecznego ciepła, iż to mnie napęlnia otuchą, że ten związek, jeżeli nie będzie sielanką, przyniesie nam jednak, — zadowolenie.....“

Czy frazeologia to, jak ów sąd o jej ideałach? Czy

szczytne rozumowanie kobiety myślącej emancypującej się na modę XX wieku?

List Helenki prześladował moje wyobraźnię cały dzień, nawet w sen nocy się mieszając. Pracował mózg, wysilając się na kombinację, a w rezultacie powstał w głowie zamęt w sercu ból, który nie ustępował.

Czegóż żałowałam? Serca, które do mnie nie należało? Czy tego, że nie oszlifowałam dyamentu? Mogłam przypuścić, że to był czeski kamień.

Wyrazy listu, obrabiał mój umysł bez ustanku.

....., i pozna, że całą jej emancypacją była zewnętrzna dekoracja, dość piękna dopóki zmarszczków na twarzy nie było i samotność nie tak dokuczała....“

Była zatem bardzo mądrą, byстрыm rozumem przyszłość odmierzywszy.

Znam ich wiele tych emancypantek! Jedna za drugą wychodzą w końcu za mąż, a im później, tem gorzej, mimo, że szczytne głosiły zasady i chciały uchylić dziewicze czoła tylko przed najgodniejszym.

Czyż i ja — myślałam wtedy w duszy — zestarzewszy się, będę żałowała rozdanych koszy, wyciągając ramiona do ciepła domowego ogniska.

Przypomniałam sobie, że potrzebuje wyciągnąć tylko rękę, a sam ksiądz proboszcz w imieniu swego siostrzeńca, włoży mi na palec obrączkę poświęconą.

Wywalczyłam sobie samoistne stanowisko... emancypantka. Czy potrzeba mi pomocy w mężu? — myślałam znowu.

... póki zdrowa, możesz drwić z wszystkich i wszystkiego...

To znowu przestroga szwagra, jedyne go opiekuna od czasu mojego wczesnego sieroctwa.


I już stawiała mi wyobraźnia przed oczy łożo boleści, na którem spoczywałam; obok stolik z lekarstwami, a tuż za drzwami, w kancelaryi, słyszałam głos urzędnika pocztowego, przysłanego z dyrekcji na mego zastępcę. Wycieńczony gorączką mózg, płodził coraz przykrzejsze widziadła.

Na mój koszt zesłany urzędnik — z kąd wezmę na własne potrzeby?

W prochu moja dusza.

Byłam chorą, a raczej chorował tylko mój umysł. Po kilku dniach wróciła przecież równowaga myśli, a w miesiąc później... nosiłam zaręczynowy pierścionek, podczas gdy ksiądz proboszcz był w drodze do dyrekcji, by wystarać się dla mnie o lepszą posadę. Wierzył, że uwzględni podanie, bo wychodziłam za ekspedytora i we dwoje moglibyśmy już prowadzić większą pocztę.

W pół roku otrzymałam w prezencie ślubnym dekret na poczmistrzynią z płacą tysiąca stu złr. rocznie.



FRAGMENT.

„Samotności! błogosławię cię, boś mnie nauczyła myśleć! — Rozczarowana! z wdzięcznością was wspominam! Byliście moimi mistrzami!“

Kartkę tej treści znalazłem u stóp skały w chwili, kiedy opuściłem zakład doktora Chramca, by obejrzeć okolicę Zakopanego. Że kartkę tę pisała kobieta, poznałem po wykrzyknikach; byłem tylko ciekawy, czy to kobieta ładna i młoda — a przedewszystkiem, czy pisze pamiętniki. Bo to od razu zraziłoby mnie do niej. Pamiętniki, według mego zdania, piszą tylko sentymentalne gąski i przekwitłe piękności, które miały cały poczet wielbicieli, więcej awantur miłosnych, niż zębów w ustach, a tyle próżności, co dwunastu dziennikarzy.

Charakter pisma przypomniiał mi osóbkę, która miała zwyczaj kreślić swoje uwagi na karteczkach papieru, a potem powierzała zapisane kartki wiatrom w polu, lub oddawała na zagładę płomieniom w kominku. Ale osóбка ta, o ile wiedziałem, bawiła za granicą. Zaintrygowany jednak, schowałem karteczkę i wspiałem się na rodzaj polany, skąd prześliczny roztaczał się widok. Chciałem właśnie rozejrzeć się po okolicy, gdy wzrok mój zawadził o kobietę.

Siedziała na kamieniu i snać rysowała jakiś pejzażyk, bo na kolanach leżała teka, w palcach trzymała ołówek, a wzrok jej, błądził od teki do roztaczającego się w koło widoku. Była tak pilnie zajęta swą pracą, że mnie nie spostrzegła. Podeszedłem więc bliżej i — ledwie wierzyłem swoim oczom!.. Znalazłem tę, o której właśnie myślałem.

— Panno Jadwigo! — zawołałem przyjemnie zdziwiony, że ją najniespodziewaniej spotykam. — Witam panią na ojczystej ziemi!

— Aaa! . . . To pan!

W głosie jej przeważał dźwięk niezadowolnienia, które złożyłem na karb niespodziewanej przerwy w pracy. Widziałem tylko jej białą rączkę, podaną mi do uścisku — pocałowałem ją, zapominając o chłodnem przywitaniu.

Wśród rozmowy, którąśmy nawiązali, taką, jaką zwykło się prowadzić przy niespodziewanem spotkaniu i to po dwu latach niewidzenia — przypatrywałem się jej z boku uważnie, niemal krytycznie, i myśli moje od jej twarzy pobiegły do znalezionej przed chwilą karteczki, postawiwszy sobie w myśli niby matematyczny pewnik: ona te słowa kreśliła.

Panna Jadwiga związała tekę i powiedziała, że skoro przerwałem jej w pracy, chce teraz wrócić do domu.

Prosiłem o pozwolenie towarzyszenia jej.

Zezwoliła.

— Przypuszczam, że bawi tu pani w towarzystwie swej ciotki i opiekunki? — spytałem.

— Tak jest. Mieszkamy w pensyonacie pani M. A pan, dawno przybyłeś?

— Przed trzema dniami.

— I długo pan zabawi?

— Może przez całe wakacje.

— Sam? . . . Czy? . . .

— A z kimże?

— Słyszałam, że miałeś się pan ożenić.

Zrobiłem mimowoli taki ruch ręką, że znając mnie, zrozumiała śnać i bez słów, co wyrazić chciałem, bo, nie pytając już o nic, zaczęła opowiadać o pięknych widokach tatrzańskich.

— A pani, czy jeszcze . . . wolna? . . . — spytałem, gdy rozmowa zesza znowu na osobiste zwierzenia.

Spojrzała na mnie, jakby mnie zmiażdżyć chciała potęgą swego królewskiego wzroku.

— Wybacz pani — zacząłem przeproszać — sam to czuję, że popełniam niedyskrecję . . . jeszcze raz proszę: wybacz pani, ale . . . powtórzę pytanie . . .

— Nie zmieniłeś się pan! — rzekła chłodno.

— Szczerść za szczerść, panno Jadwigo! Spytała mnie pani, czy się ożeniłem, powiem więc otwarcie, że nie zrobiłem tego dla tej jedynie przyczyny bo kiedy zadeklamowałem mojej arzczonej: „choć w chatce, byle z nią“, powiedziała mi... że jestem głupcem. Rozeszliśmy się w najlepszej zgodzie. Zrozumiałem tylko, że kobietom nie wystarcza miłość i — chatka; one chcą dla siebie złotej ramki.

— Panie!

— Są wyjątki, panno Jadwigo. Ale nie zapominajmy o tem, o czem wiedzieć chciałem, mianowicie, czy pani... wolną.

— Wszak tytułujesz mnie pan panną Jadwigą!

— Nie myślałem o zamążpójściu pani, bo mówiono mi tylko, że miałaś się pani zaręczyć.

— Z kim?

— Z panem Zygmuntem R.

Zmarszczyła brwi.

— Pan Zygmunt R. był tylko moim przyjacielem.

— Pani wybaczy, ale ze mnie sceptyk okropny. Nie wierzę w przyjaźń dwupłciową.

— Stajesz się pan niedyskretnie...

— Natrętnym — dokończyłem żywo. — Ale proszę się nie gniewać — dodałem. — Znasz pani moją nałogową szczerść, która weszła już w przysłowie między znajomymi. Tej to szczerści wybaczy pani i powiedz mi otwarcie...

— Ależ panie!

— Nie mogę pani zmusić. Skorzystam więc tylko z jednego słówka pani i na niem osnuję własne swoje domysły. Jako dziennikarz mam wprawę w tej robocie.

— Zaczynaj pan.

— Jeśli się nie mylę, użyła pani, mówiąc o przyjaźni z panem Zygmuntem R., czasu przeszłego. Czy przyjaźń zerwana?

— Widzę, że postanowiłeś pan sobie nie ustąpić. Otóż, aby zaspokoić ciekawść pana, powiem panu, że chociaż nie

zerwałam przyjaźni z panem R., muszę tę przyjaźń zaliczyć do przeszłości, bo stała się już ona niemożliwą. . .

— Niemożliwą? . . .

— Nie chcę wzbudzić zazdrości pani R. Pan Zygmunt jest obecnie żonaty.

Zacząłem się śmiać co obraziło pannę Jadwigę. Musiałem się jej wytłómaczyć.

— Otóż to kobiety — rzekłem. — Czy każe mi pani wierzyć w przyjaźń między mężczyzną, a kobietą?

Nie odpowiedziała, lecz zarumieniła się aż do grzywki — pewnie z gniewu. Kobiety nie lubią, gdy im się prawdę mówi. Pod tym względem są jeszcze zarozumialsze, niż artyści dramatyczni.

Staliśmy właśnie przed bramą pensjonatu, panna Jadwiga zamiast się bronić, spytała tylko, kiedy złożę wizytę jej opiekunce, a otrzymawszy moje przyrzeczenie na dzień następny, podała mi rękę i wkrótce znikła w długim korytarzu.

Wróciłem do zakładu, myśląc po drodze o spotkaniu z Jadwigą i o rozmowie, jakąśmy prowadzili. Wyglądać to mogło . . . Już sam nie wiem, co to było, dość, że miałem wtedy głowę nabitą najdziwaczniejszymi projektami i zaczynałem obawiać się, czy nie jest to u mnie chronicznem, że, otrząsnąwszy się ledwie z jednej febry miłosnej, wpadam w drugą.

Dla uprzytomnienia sobie każdej chwili tego spotkania wyjąłem karteczkę znalezioną u stóp skały i treść jej raz jeszcze przeczytałem.

— Hm... to dość naiwnie — pomyślałem sobie — a Jadwiga nie jest sentymentalnym podlotkiem. Widocznie, mimo swego rozumu i talentu, pozuje „przed samą sobą“, lubuje się „weltschmerzem“ i robi uwagi, jak nieszczęśliwie kochająca missis angielska.

„Trzeba jednak przebaczyć kobiecie jej słabostki — myślałem w dalszym ciągu — niedosłyszeć gdy powie coś nierozsądnego; a nawet przeoczyć trzeba ortograficzne błędy w miłosnym jej liście.“

Tej ostateczności nie potrzebowałem się obawiać, bo Jadwiga mówiła mało, a więc nie miała częstej sposobności popaść w grzech niestosownego odezwania się. Co zaś do jej listów, choć żadnego nigdy od niej nie otrzymałem, śmiało ręczyć mogę, że byłyby nietylko bez błędu, ale tak piękne, „żeby je i drukować było można.“

„Więc się rozczarowała“ — dumałem znowu. Nie chciało mi się jednak wierzyć w prawdziwość tego rozczarowania. Znałem o tyle jej charakter, by poznać ją i tu po szczególnym rysie: była wielką fantastką i po artystycznemu lubiła się egzaltować.

— Jej przyjaźń z Zygmuntem R. — myślałem sobie — była pewnie niczem innym, jak taką fantastyczną egzaltacją. Artystyczna jej dusza, rozmiłowana w postaciach takich, jak Beatrycze, Franceska, Wirginia, chciała dla siebie wybrać co najmniej rolę Heloizy i szukała w Zygmuncie Abeillarda.

Chciałem, aby tak było koniecznie. Spuściwszy na to wszystko zasłonę, podnosiłem kurtynę na nowo, zaludniając scenę — sobą i Jadwigą.

Musiałem mieć bardzo puste myśli, bo na zakończenie tych dumań, zaśpiewałem półgłosem:

„Kobieta zmienną bywa
„W pustocie zwykłej swej
„I często wiatr porywa,
„Jak puszek serce jej.

Nazajutrz złożyłem Jadwidze i jej ciotce wizytę, która jak na pierwszą (po powrocie do kraju) przeciągnęła się nieco poza czas, przepisany przez dobry ton.

Nie byłem jednak w usposobieniu, aby zważać na przepisy salonowego kodeksu, pozostając owszem pod urokiem ślicznych oczu Jadwigi.

Ciotka przywitała mnie życzliwie. Zauważyłem, że w niczem się nie zmieniła. Była tak samo gościnna, jak w Krakowie, gdzie jako wdowa po bankierze i bogata, prowadziła dom otwarty i lubiła ściągać do swoich salonów „świat ar-

tystyczny.“ Zachowała też i tu, ten sam sposób prowadzenia rozmowy o wszystkim i o niczem.

Po południu miałem Jadwidze towarzyszyć na miejsce, zkąd szkicowała wczoraj widoki okolicy — wprowadzie pod warunkiem, że w pracy przeszkadzać nie będę.

Ruszyliśmy pod górę — naturalnie tylko we dwoje. Pani G. wołała zostać w ogrodzie, znalazłszy jakieś znajome towarzystwo.

— Czy gniewa się jeszcze pani za wczorajsze natręctwo? — spytałem, gdy wyszliśmy z pensjonatu.

— Dowiodłam mojem postępowaniem, że tak nie jest — odpowiedziała.

Schyliłem się, by pocałować ją w rączkę.

— Lecz nie mówiła mi jeszcze pani, jak spędziłaś te dwa lata, odkąd straciłem panią z oczu — rzekłem, gdyśmy uszli spory kawał drogi.

— Wśród pracy — odparła. Zwiedziłam z ciotką Włochy, Szwajcaryą; z powrotem zatrzymałyśmy się dłużej w Dreźnie. Studyowałam arcydzieła mistrzów i piękną naturę; wreszcie popróbowала własnej siły. Ale niestety mogę wraz z autorką „Za oceanem“ powiedzieć: „opaliły mi się skrzydła, gdydym się ku niebu rwała z moimi ideałami.“

Umilkła.

Szliśmy dalej w milczeniu, którego przerwać nie śmiałem. Odbiegła mnie chęć sztydzenia z jej rozczarowania. Wprowadzie raziło mnie to, że do wyrażenia tego co czuła, używała przenośni i cytatów z powieści, ale starałem się nie przywiązywać do tego wielkiego znaczenia, wspomniawszy, że jest bardzo młodą, a przedewszystkiem — kobietą.

Nie pytałem, co znaczy przenośnia, wyjęta z powieści Estei; domyśliłem się, że nie oceniono jej talentu, a w dodatku Zygmunt R. ożenił się z inną — i to wystarczyło, aby miała prawo uważać się na życie.

Zbliżyliśmy się do miejsca wczorajszego spotkania.

— Spoczniemy tutaj — rzekła Jadwiga.

Uczynilem to z przyjemnością, bo zmęczyłem się drogą pod górę.

— A jednak — mówiła Jadwiga, rozglądając się po okolicy — jestem niewdzięczną i nie umiem cenić dobrodziejstw, które skądinąd spłynęły na mnie w ostatnich czasach. Ileż razy marzyłam o podróży do Włoch! a gdy słowo ciałem się stało, mówiąc językiem biblijnym, marzę jeszcze o czemś i szemrzę przeciw przeznaczeniu.

— Dowód, że w duszy pani jest jeszcze próżnia, której talent nie potrafił wypełnić — rzekłem w odpowiedzi.

— Próżnia, mówisz pan? Chyba ta, jaka powstać musi po rozwianych marzeniach o przyjaźni i zaufaniu w ludzi.

— Staraj się pani wypełnić tę próżnię.

— Czem?

— Miłością.

— I pana wybrać swoim Filonem?

Ściągnęła ramionami i jakby mnie na świecie nie było, zapamiętała poczęła szkicować.

I znowu siedzieliśmy na owej polanie. Ja, opowiadałem jej o wszystkich możliwych rzeczach, o których wiedziałem, że ją mogą zajmować, ona szkicując, przysłuchiwała się z uśmiechem.

Ale uśmiech ten był bardzo smutny; widziałem, że ocierała ukradkiem łzy.

— Co pani jest? — spytałem wreszcie zaniepokojony. — Czy spotkała panią jaka nieprzyjemność?

— Nic mi nie jest — odparła. Jestem po prostu zenerwowaną. Powinnam była zamknąć się dzisiaj w pokoju, a nie pokazywać się ludziom. Co pan sobie o mnie pomyśleć może? — spytała.

— Że pani cierpi — zawołałem. Panno Jadwigo — dodałem błagalnie — wierz pani mojej przyjaźni i powiedz, co się stało. Jesteś pani kobietą wyższą nad poziom, nie płakałabyś, gdyby cierpienie twoje nie było prawdziwem.

Rozegzaltowany uczuciem, które opanowało mnie nie na

żarty, wierzyłem w to wszystko, co mówiłem i gdyby kto powiedział mi wtedy, że dwa tygodnie temu, patrzałem z pobłażliwym szyderstwem na owę znaną karteczkę, byłbym tego człowieka zmiażdżył. Zapomniałem o powadze swoich „czterech krzyżyków“ i jak student, zapaliłem się do pięknych oczu Jadwigi. Fantazya unosiła mnie w krainę szczęśliwych głupców, rozum szyderca skrył się gdzieś w kąt mojej duszy i już nie wściubiał nosa (przepraszam za przenośnię) w sprawę mojego serca.

To, co miało być flirtem, przeobraziło się nagle w rzeczywiste pragnienie miłości. Kochałem ją — była mi drogą — chciałem ją mieć dla siebie, a romantyczne intermezzo z Zygmuntem nie obchodziło mnie wcale. Przyszedłem nagle do przekonania, że jeśli kobieta nie kocha stale, winien temu mężczyzna, bo nie potrafił zaskarbić sobie jej serca i rozczarował ją swoim postępowaniem.

— Czy go pani jeszcze kocha? — wyszeptalem i jakaś zła myśl wślizgnęła mi się w duszę.

— Kogo? — spytała.

— Zygmunta R.

— Skąd panu ta myśl?...

Gniew tryskał z jej oczu i brwi ściągniętych.

— Wybij pan sobie z głowy tę myśl raz na zawsze — rzekła. — To, co było między mną, a panem Zygmuntem R. nie może nosić miana miłości. Była to koleżeńska przyjaźń, jaka tak często między artystami się wytwarza. Jego wybitny talent, niepospolita przytem inteligencya umysłu, wywierały na mnie wpływ wielki. On mi był przyjacielem i doradcą, wierzyłam w jego życzliwość i ot, wszystko. Tak... prawda... W egzaltacyi swojej pragnęłam, aby ten stosunek trwał długo, zawsze. Wmieszanie się trzeciej osoby, podziało na moje wrażliwą naturę, jak oblanie zimną wodą.

— Kochała go więc pani?

— Tak jest.

— Teraz przyznaje się więc pani do tej miłości?

Coś pewnie było w głosie moim, co ją musiało obrazić bo zacięła usta i zapamiętała rysować poczęła.

Cóż miałem począć? Milczałem, aby nie powiedzieć czegoś, co by pogorszyło sprawę. Dotrwałem cierpliwie w roli komparsa i kiedy nareszcie Jadwiga zdecydowała się powrócić do pensjonatu, odprowadziłem ją w milczeniu i pożegnałem przed bramą.

Następstwem tej rozmowy było to, że napisałem do Zygmunta R. list, żeby się go nie powstydził żaden ajent policyjny (w mniemaniu mojem). Prosiłem o wiadomości z Drezna, o podanie dokładnej cyfry przebywającej tamże Polonii — a między to wszystko wplotłem opis mojej wycieczki w Tatrzy — spotkanie z panią G., ciotką Jadwigi, wspomniałem o jego znajomości z tą ostatnią. Nie tailem wprowadzić tego, że panna Jadwiga zrobiła na mnie silne wrażenie, ale uczyniłem to bardzo oględnie. Skończywszy, podpisałem się zamaszyście, syt zdolności dyplomatycznej. (Myślałem bowiem, że potrafię podejść Zygmunta i dowiedzieć się prawdy, sam nie będąc szczerym.)

Przez cały tydzień nie pokazałem się u moich pań, a to dla tego, abym nie potrzebował dręczyć panny pytaniami, które ją obrazić, lub zniechęcić do mnie mogły.

Wreszcie — po tygodniu — otrzymałem odpowiedź Zygmunta.

„Kochany Kolego! — pisał. — Jesteście bardzo dobrym dziennikarzem; piszecie dowcipne kroniki, ale w sprawach sercowych, szczególnie, gdy chodzi o własne serce, prześcignęłyby Was pensyonarka. Pomimo tego, że tyle zawsze wygadywaliście na kobiety, o mało co nie popadliście w grzech gorszy od pierworodnego — zamyślając się żenić. A teraz spotkawszy przypadkiem pannę Jadwigę, po uszy brniecie w ten bystry prąd, który już tylu uniósł tam, skąd bez szwanku nie wrócili na brzeg.

„List Wasz doszedł mnie, gdy już wiedziałem o Waszem spotkaniu z Jadwigą. Powinszowałem też przed tygodniem

pannie Jadwidze tej zdobyczy, bądź co bądź nie tak łatwej. Życzę Wam szczęścia, chociaż — Kolego, mógłbym się szczerze na Was gniewać, że mi odbieracie serce, które chciało „być tylko dla mnie i dla sztuki“.

„Pannie Jadwidze odesłałem listy, pisywane do mnie „w różnych czasach“. Przykro mi było rozstać się z nimi, ale zrozumiałem, że tą ofiarą okupię jej spokój.

„Zapewniam Was jednakże, że między nami nie takiego nie zaszło, co by ją mogło kompromitować. Panna Jadwiga kochała się tylko w moim talencie i gdyby widziała mnie — w negliżu, ostygłby jej zapal bezpowrotnie. Rozumiałem to doskonale i dla tego, mimo, że cenilem jej przyjazne dla mnie uczucie, ożeniłem się z inną, aby mieć wygodną żonę, a przytem nie tak bardzo wymagającą. Moja żona nie stawia mnie na koturnie — jestem dla niej — modną ramką. Panna Jadwiga zaś chciała koniecznie, abym nie był — zwyczajnym człowiekiem, a to — nad moje siły.

Jestem z Wami szczerzy, jak widzicie, a na zakończenie dodam jeszcze, że jeśli pozyskaliście miłość panny Jadwigi, to — urodziliście się w czepku.

Listę bawiącej tu Polonii poniżej podaję, a jeśli potrzebować będziecie jakich wiadomości dziennikarskich, służę z ochotą“....

List ten, nie bardzo mnie zadowolnił. Zgniewany portargałem go i — poszedłem do Jadwigi, aby się jej oświadczyć.

Lecz, jak zwykle na świecie się dzieje, spotkało mnie to, czego się najmniej spodziewałem. Pani G. przywitała mnie z taką zimną powagą, że zapomniałem języka w gębie i stanąłem, jak kołek.

— Przyślę tu panu Jadwisie — rzekła pani G. i wyszła z pokoju.

Jaką ja wtedy musiałem mieć głupią minę, gdy mnie zostawiła na środku pokoju z kapeluszem w ręku!?

Za chwilę weszła Jadwiga. Spojrzałem i „zrobiło mi się bardzo głupio w duszy.“

— Panno Jadwigo! — zawołałem, podchodząc ku niej żywo — pani mi powie, co się stało, że szanowna ciotka obeszła się zemną... tak... niezwyczajnie. Czemże zasłużyłem na jej niełaskę? Co to wszystko znaczy?

— To znaczy, mój panie — odezwała się Jadwiga — że jeśli okazywaliśmy dla pana życzliwość i przyjaźń, nie trzeba jej było nadużywać. Wszak niczem nie upoważniłam pana, abyś pisał do Zygmunta R. i żądał od niego wyjaśnień, oraz zwrotu moich listów. Jeśli było to panu potrzebnem do napisania dowcipnej kroniki tygodniowej, lub zapełnienia feljetonu, to trzeba mnie było uprzedzić, byłabym ostrożniejszą.

— Ależ pani! — zawołałem — chciej mnie wysłuchać. Ja od pana Zygmunta nie żądałem listów pani. Pisałem mu tylko... tak... zupełnie co innego. Ja... panno Jadwigo, napiszę do niego po ten list, przekonam panią, że niesłusznie krzywdzisz mnie takim podejrzeniem.

— Cóżes mu pan pisał?

Powtórzyłem co do słowa treść mojego listu.

— Więc to nie pan donosiłeś mu jeszcze przed dwoma tygodniami o tem, żeśmy tu pana spotkały? — spytała.

Jako żywo — odparłem.

Musiałem mieć bardzo skruszoną minę, bo pozwoliła mi się bronić. Pokazała mi także ostatnie dwa listy Zygmunta. Jeden nosił datę z przed dwóch tygodni niespełna, i musiał nadejść w dniu, w którym Jadwiga była tak zdenerwowaną i smutną, że uległa mojej natrętnej indagacyi i wyznała, że kocha Zygmunta. Drugi list wysłany był równocześnie z tym, który właśnie otrzymałem.

Kto doniósł Zygmunтови o mojem spotkaniu z Jadwigą, nie dowiedziałem się nigdy. Ale nie to obchodziło mnie wówczas. Intrygowały i drażniły mnie listy Zygmunta, które „swoją drogą“ były arcydziełem stylu. W listach tych nie było czułych wyznań, a przecież treścią swoją kazały się domyslać, że autor kocha bez nadziei i jest nieszczęśliwym z powodu tego, że „kobieta, którą uważa za swoje natchnienie

odwraca się od niego, aby być gwiazdą przewodnią na drodze innego, szczęśliwszego śmiertelnika.“

Jeśli Jadwiga nie umiała, lub nie chciała zastanowić się nad tem, jaki trzeba mieć charakter, aby w ten sposób pisać do kobiety, od której nie powinno się niczego żądać, bo własną niestałością i związaniem swego losu z inną kobietą straciło się prawa do wynagrodzenia czegoś, co się przedtem posiadało — otóż jeśli Jadwiga nie chciała zastanowić się nad tem, czytając te listy — mogła święcie w to wierzyć, że popełni grzech, nie będąc i nadal „natchnieniem artysty Zygmunta R.“

Nie — ona nie chciała zastanowić się nad rolą, jaką tu grał Zygmunt R. Poznałem owszem po całym jej zachowaniu się, że go jeszcze kocha i że niczem nie zdołam jej przekonać, że jestem niewinny grzechu, o jaki mnie posądzała.

Użyłem może niewłaściwego sposobu, pisząc do Zygmunta R., ale miałem jak najszlachetniejsze zamiary.

Nie pomogło to jednak. Pani G. istotnej prawdy nie знаła, to też nie mogła między nami pośredniczyć. Musiałem w to wierzyć, bo inaczej nie mogłem pojąć obrażonej miny pani G. i dla tego, że jako osoba szanująca swe dobre imię i sławę wychowanki, mogła mnie potępić, a pozwolić Jadwidze na to, aby odbierała podobne listy od żonatego człowieka.

Tak sobie wszystko potem wytłómaczyłem. Wtenczas jednak, kiedy stałem przed Jadwigą, nie umiałem widocznie bronić swojej sprawy — bo dano mi poznać, że zrobię najlepiej, gdy wyjadę z Zakopanego...

ARTYSTYCZNE DUSZE.

W pracowni mojego przyjaciela zobaczyłem świeży portret kobiety. Obraz malowany był pastelami i odznaczał się nadzwyczaj wdzięcznym kolorytem. Nie wiem już dzisiaj, co przykuło wzrok mój do tej twarzy pięknej i nie zbyt młodej, ale to pamiętam, że zdziwiony i jakby olśniony wyrazem jej twarzy, przystanąłem, aby o nią spytać przyjaciela.

Mój przyjaciel szalone ma do kobiet szczęście, choć do tego przyznawać się nie lubi; kochają się w nim na wyścigi, czemu się nie dziwię, bo posiada nadzwyczaj ujmującą rycerskość, talent i wyborny sposób opowiadania.

Gdy zatrzymałem się przed pastelem, uśmiechnął się; a miał dziwny sposób składania ust do uśmiechu. W oczach pozostał ten sam wyraz rozmarzenia i tylko w kątach ust rysowało się szyderstwo.

— Zajmuje cię ta twarz? — rzekł. — Jest to podobizna literatki,

— Podobizna! — zaśmiałem się, ubawiony jego zwrotem. — Powiedz gwiazda, bo inaczej gotowa nie przebaczyć ci

— Niech i tak będzie!

— Ach .. musisz mi o niej coś powiedzieć. Z twarzy tej przegląda artystyczna dusza. Opowiadaj. Gdzieżeś ją poznał, co o niej wiesz? ..

— Siadaj, mój drogi.



Zajęliśmy miejsca i zapalili papierosy, poczem mój przyjaciel zaczął opowiadać:

Poznałem ją przed dwoma laty. Przyszła do mnie pewnego przedpołudnia, trzymając pod hiszpańską peleryną, nie myśl, że sztylet włoski, lub nóż hiszpański, ale grubej objętości manuskrypt. Gdybym był redaktorem jakiego literackiego dziennika, objętość manuskryptu, bardziej przstraszyć by mnie mogła, niżli nawet nóż hiszpański. Nie będąc jednak w tem nieszczęśliwem położeniu, spytałem, jakie ma żądanie. „Panie, — zaczęła bardzo wzruszonym głosem — wszystko, co o panu słyszałam, wzbudziło mój szacunek dla jego osoby i admiracją dla talentu. Wiem, że nie odmówisz mojej prośbie, chociaż, jest ona bardzo wymagająca. Rozłożyła przedemną manuskrypt i powiedziała wyraźniej czego żąda. Manuskrypt zawierał pierwszą jej powieść, a ponieważ wątpiła, czy zdoła ją gdzie umieścić, wpadła na pomysł, abym dorobił do tekstu ilustracye, a wtedy (są to jej słowa) najpewniej spodziewać się mogła, że powieść znajdzie nakładcę.

Przyznam ci się, że to żądanie wydało mi się bardzo obcesowem, nie zdobyłby się na to żaden mężczyzna; widocznie kobiety odważniejszej są natury. Nie dałem jednak poznać po sobie, co myślę, odebrałem jej z rąk manuskrypt i jak gdybym był redaktorem „od fejletonu“ — przyrzekłem powieść przeczytać i poprosiłem o jej adres. Moja literatka, powiedziawszy mi mnóstwo komplementów, wyszła....

Przez jakąś złośliwą ciekawość, wziąłem się następnych dni do przejrzenia otrzymanej powieści, czytałem ją nawet w następstwie bardzo uważnie i przekonałem się, że autorce nie brakowało talentu. Lecz, mówiąc stylem dziennikarskim, nie kwalifikowała się do druku. Raziły usterki techniczne, styl był chropowaty, język nie zalecał się wielką czystością i poprawnością. O ile jednak znam się na tem, musiałem przyznać, że autorka mogłaby przy usilnej pracy stworzyć w przyszłości coś bardziej udatnego. Napisałem jej to wszystko, przeprasząc, że jestem zmuszony wyjawić jej sąd mój szczery o pracy, w której zaproszono mnie do spółki.

W kilka dni otrzymałem bardzo piękny list; każde w nim zawarte słowo, równoważyło liściowi lauru, zaś wieniec tych cennych słów, przewiązany był zapewnieniem, że „krytyczne moje wskazówki tak ją oświeciły, że z podwojonym zapałem, weźmie się do dalszej pracy, abym nie potrzebował żałować sądu, wydanego o jej talencie, w który ufam.

Nie upłynął miesiąc, a moja literatka nadesłała mi nowelę.

Cóż miałem począć? Przypomniałem sobie słowa Schillera: „Das ist der Fluch der boesen That, dass sie fortzeugend Boeses muss gebaeren“. Nie pocieszyła mnie wprawdzie ta mądra sentencja; wpłynęła tylko na to, że nowelę przeczytałem cierpliwie do końca i.. odesłałem ją autorce z dobrą radą nie posyłania jej do redakcyi.

Podobnie jak po odesłaniu powieści, i tą razą otrzymałem list z podziękowaniem „za trud podjęty“ i świeże zapewnienie, że „doznane rozczarowanie nie ostudziło jej zapału do pisania“.

Nie spodziewałem się po niej takiej wytrwałości.... Odtąd w pewnych odstępach czasu otrzymywałem od mojej literatki nowele, szkice, powieści, do których bywały dołączane owe wawrzynowe liście, jak nazywam listy i bilety moich wielbicielek. — Spełniałem też sumniennie rolę krytyka i recenzenta, jakby za to opłacany od „zarządu międzynarodowego stowarzyszenia literatów, czuwających nad wspólnymi interesami, a w szczególności nad młodymi talentami“. Nareszcie doczekałem się nagrody....

— Nareszcie — przerwałem — zbliża się romans....

— Mylisz się. Między nami żadnego nie było romansu i dziś.....

— Dziś? — przerwałem zaintrygowany jego uśmiechem.

— Dziś — mówił mój przyjaciel spokojnie — jest ona bardzo szczęśliwą mężatką. Przed miesiącem posłała mi swoją fotografią z prośbą, abym z niej zdjął pastel, który jako wiano ofiarować chce mężowi na imienny. Do fotografii dołączony był list dziękczynny, że swoje szczęście zawdzięcza

tylko mojej osobie, bo „gdybym nie był stłumił jej zapału do pisania powieści, ona poświęcając się „niewdzięcznej literaturze“, byłaby zapomniała o tem, że dla kobiety właściwem szczęściem jest domowe ognisko i... kolebka“.

Umilkł na chwilę, potem spytał:

— Czy będziesz jeszcze przepadał za twarzami, z których bije czar artystycznej duszy?

— Jak wiesz, należę do niepoprawnych! — dodać pośpieszyłem. — A zatem jeśli posiadasz drugi taki typ, to dawaj go tu!..

Milcząc, podał mi miniaturę ślicznej główki dziewczęcej z twarzyczką o drobnych rysach, jakby wyrzeźbionych na kości słoniowej i oczyma gazeli. Wypowiedziałem mój sąd o tej piękności i spytałem o żywy oryginał.

— Jest to aktorka — odparł mój przyjaciel i znowu zaczął opowiadać:

— Poznałem ją na ulicy, a było to nad wieczorem dżdżystego dnia jesiennego. Stała oparta o mur kamienicy, z której właśnie wychodziłem i wtedy zrobiłem to samo co i ty spostrzeżenie, że ma oczy strworzonej gazeli.

Zabrałem ją do mojej pracowni, by się ogrzała, podałem jej podwieczorek, była bowiem zgłodniała i zziębnięta, jak pisklę, które wyrzucono z gniazda. Widziałeś jaskółkę, jak zawczasie do naszego kraju przybywszy, opuszcza skrzydełka i mruży ślepki, jak gdyby chciała zasnąć i w śnie przeczekać czas zimny? Otóż moja mała, ogrzawszy się nieco i posiliwszy, przytuliła swą główkę do tej tu kanapy i usnęła.

Mają mnie powszechnie za przyjaciela kobiet; wielu dworuje sobie z tego, że mam szczęście do płci pięknej — a jednak wierzaj mi, że to dziewczę, spoczywające u mnie na kanapie z całym zaufaniem niedoświadczonej młodości, było mi zbyt świętem, aby śledzić je nawet grzeszną myślą. Przymknąłem drzwi pracowni i udałem się do drugiego pokoju, by poczekać aż się zbudzi.

Nastąpiło to za godzinę niespełną, a wtedy opowiedziała mi, że matka jej była aktorką i umarła przed rokiem. Ojciec jeszcze żyje, dodała, ale, straciwszy posadę w sądzie, zapija się wódką, a potem bije ją i młodszego brata, który terminuje u stolarza. Z dziecięcą prawie szczerością wyznała mi, że ojciec może ma słuszość, bijąc ją, ponieważ nie chce zostać krawczynią, lecz upiera się wstąpić do teatru.

Moja mała rozszczebiotała się jak kanarek: gdy widziała że słucham ją uważnie, prosiła, czy pozwolę, aby mi zadeklamowała jakie wiersze. Przystałem na to z ochotą i nie mało byłem zdziwiony wdziękiem jej niewymuszonej, naturalnej deklamacji. Widocznie odziedziczyła po matce talent i ów popęd do sceny.

Ponieważ do ojca w żaden sposób wrócić nie chciała, odprowadziłem ją do znajomej] mi pani, która kilka lat temu występowała na scenie z powodzeniem, ale dała pokój artystycznej karierze, wychodząc za męża. Uprosiłem tę damę, by tymczasem zajęła się młodziutką adeptką sztuki i udzielała jej lekcji dramaturgii.

Należało teraz wystarać się o debiut dla tej małej.

Nie było to łatwem, ale wreszcie zdołałem trafić do przekonania dyrekcyi, która na debiut zezwoliła.

Moja mała podobała się publiczności i po debiucie nastąpił stały „angażament“ z miesięczną pensją 40 zlr. w. a.

— Ach — przerwałem — historia ta... przypominam sobie... przywędrowała do mnie aż do Włoch, gdzie bawiłem zeszłej jesieni. Coś mi tam wspomniano, że kochałeś się w tej małej... Opowiadajże dalej... cóż się z nią stało? Nic nie wiem. Obecnie teraz jestem u was...

— Więc mówiono, że się w niej kochałem?... Tak, tak... Wiem, że moje zajęcie się losem tej małej poczytywanem było za interesowaną usłużność, za którą hojną odbierałem nagrodę. Cóż robić?... Dodała mi ona jeszcze jednego listka do wawrzynowego wieńca mojej chwały w zdobywaniu sere

kobiectych, chociaż — Bóg mi świadkiem, nie przyczyniłem się do tego.

Nie chcę kłamać i przyznam ci się, że z przyjemnością śledziłem życie tej małej. Byłem ciekawy, jak też sobie poradzi z taką małą pensją. Mieszkała u jakiejś wdowy i płaciła jej za utrzymanie 25 złr. Na garderobę i kieszonkowe wydatki zostawało jej więc 15 złr. kwartalnie! Dyrekcyja dość tanio kupowała sobie niższy personal sceniczny! Nie mogłem jednak na to poradzić, wpłynąłem tylko na pewną artystkę, by pożyczała tej małej tualety na występy.

Co prawda występowała nieczęsto... Zapytałem o przyczynę... dano mi do zrozumienia, że temu winne intrygi zakulisowe. Moja mała była jeszcze aniołkiem w tem towarzystwie. A miała wytrwałość... Znosiła upokorzenia, ale... upaść nie chciała!... Przechodziła przez brud zakulisowy, jak anioł przez piekło, nie zwalawszy skrzydeł...

Mój przyjaciel zrobił pauzę, a ja — nie mogłem się wstrzymać, by nie chrząknąć...

Oburzyło go to.

— Chcesz sztydzić? — spytał.

— Bynajmniej! — odparłem.

— Widzę, że durzyłeś się w niej nie na żarty. Ale wracajmy do historyi. Cóż zrobiłeś z jej ojcem? Nie zjawił się on u ciebie, jak deus ex machina?

— Masz słuszość... jegomość ten był u mnie i nawet żądał pożyczki w imię... przyjaźni, jaką mam dla córki. Gdy odemnie nie wiele mógł wydusić... sam wyszukał lepszych dla córki przyjaciół.

— Ach, więc anioł upadł?

— Zgadłeś. Jakiś hrabia zajął się jej losem, wyrobił najlepsze warunki bytu, bo obecnie posiada już swój własny apartament, jakiś nawet pokój chiński, czy japoński — każdego rana przymierza inne szlafroczki, a na ulicy spotkasz ją tylko, gdy wyjeżdża w powozie... hrabiego. Przed trzema miesiącami zajęchała do mnie i zamówiła swój portret, do którego mi siedziała. Spytałem czy mogę dla siebie zrobić miniaturę.

Byłem ciekawy co odpowie i dla tego o pozwolenie prosiłem. Czy uwierzysz?... ona po raz pierwszy spojrzała na mnie... tak dziwnie... była wtedy bardzo piękną... ale dla mnie ten wzrok kokieterystyczny żadnego nie miał uroku. Spuściłem oczy, jak student, a wtedy ona... nachyliła się ku mnie i pocałowała. Lecz zanim miałem czas opamiętać się, szepnęła tylko: „oto nagroda, której sam nie wzięłeś sobie! — i wyszła...

O mój skromny wróbelku! — zawołałem, gdy skończył opowiadanie. Śliczna wisienka wisiała na drzewie — nie tknęłaś się jej, szlachetnem dlań zdjęty współczuciem. Lecz wisienka, dojrzawszy — upadła na ziemię i — świnia ją obgryzła.

— Cóż chcesz? — odparł mój przyjaciel z uśmiechem. Nie mogę pozbyć się wiary, że kobiety są aniołami, chociaż doświadczenie już niejednokrotnie mnie pouczyło, że spieszo im zawsze pozbyć się tych białych skrzydeł, które je unoszą ponad brudem ziemskim...

— Rzec słuszną! — przerwałem mu. Być zawieszonym między niebem, a ziemią, to poza może bardzo malownicza do obrazu, ale nużąca w rzeczywistości. Kobieta, jako stworzenie słabe, nie jest w stanie przetrwać takiej próby.

Nie zapomnę nigdy wyrazu twarzy mojego przyjaciela w chwili, kiedy wypowiedziałem te słowa. Najpierw wypatrzył się na mnie z jakimś szczególnym przestraczem, później coś podobnego do szyderskiego uśmiechu zarysowało się około charakterystycznych jego ust. Powstał z miejsca i stanął przedemną.

— A wiesz kto temu winien, że istnieją takie pseudo-literatki i... upadłe anioły? — spytał, kładąc dłoń na moim ramieniu. Oto my winni! Gdyby dziewczę, poczuwszy się kobietą, znalazło na swojej drodze uczciwego mężczyznę i uczciwą miłość, nie marnowałaby się dla mrzonek! Gdybyśmy nie uganiaли się za — owocami zakazanemi — anioły nie potrzebowałyby upadać... w błoto!

Szczęście sercu — duszy spokój.

Samotnie, jakby odsunąć się chciał od małomiejskich towarzyszy, stał wśród pola mały, drewniany domek, trzema oknami na gościniec wyglądając, dwoma zaś, od tyłu, na tor kolejowy.

Latem mogło tu być przyjemnie, bo i widok na Luboń był prześliczny i w pobliżu szemrał górski strumyk, i za torem kolejowym ciągnął się las świerkowy, w którym były starannie utrzymywane aleje. Lecz teraz był grudzień, śniegi spadły za ziemię obficie i jak okiem sięgnąć, widać tylko było wysokie wały śniegowe, wśród których latały wrony i sroki.

Okienka, wychodzące na tor kolejowy, były ustrojone w firanki, a między zewnętrznem oknem a wewnętrznem, leżał mech przybrany papierowemi różami.

Jeśli kto z przejezdnych zaglądał do tych okien, nieraz mógł tam widzieć małą główkę dziewczęcą, ustrojoną w koronę płowych warkoczy. Dziewczę miało twarz smutną, delikatną, ale bardzo ładną; już po twarzyczce sądząc, można było przypuścić na pewno, że jest wątłą i małego wzrostu.

Była to Jadzia Drobnerówna, jedna z młodszych nauczycielek przy tutejszej szkole. Mieszkała z starą służącą, i prócz panny Marty, siostrzenicy księdza proboszcza, nikt jej

nigdy nie odwiedzał. Żył samotnie, nie szukała towarzystwa, a smutek jej odstraszał od niej wesołe i zabawy żadne koleżanki.

W ostatnich dniach grudnia smutek Jadzi zamienił się w rodzaj melancholii. W dzień wigilijny zamknęła się w swoim pokoju i wyszła do kuchni dopiero wtedy, gdy jej stara służąca oznajmiła, że organista przybył z opłatkami i należy mu dać kolędę.

Kiedy jej organista podawał opłatki, twarzyczka jej pobladła nieznacznie. Drżącą ręką podała mu kolędę i uśmiechnęła się dobrotliwie w odpowiedzi na życzenie „Dosiego roku“. Potem wróciła z opłatkami do pokoju i stanęła przy oknie. Stała tak chwilę, patrząc na tor kolejowy i stojące w oddale trzystu kroków kolumny świerków śniegiem obciążone; wreszcie spuściła wzrok na trzymane w ręku opłatki i jakby sobie coś przypomniała, podeszła do stolika, rozerwała paczkę i przełamała jeden opłatek na dwie połowy. Następnie wyjęła z szufladki stołu arkusik papieru i skreśliła na nim kilka wierszy. Gdy skończyła, złożyła arkusik, włożyła do środka przepołowiony opłatek, schowała go w kopertę i kiedy właśnie miała ją zakleić i napisać adres, z kuchni doleciały ją znajome widocznie głosy, bo zarumienila się gwałtownie, odłożyła pióro, list skryła do szufladki i powstała z miejsca, kierując się ku drzwiom.

Wchodziły właśnie dwie osoby. Jedną z nich był starszek w sutannie, na którą odział był futro. Twarz miał czerstwą, uśmiechniętą, niegdyś musiała być piękną; dziś, siwe, długie jego włosy budziły szacunek, a czerstwa, dobrocią tchnąca twarz, przyjemne uczucie zadowolenia. Za nim weszła kobieta, może czterdziestoletnia, wysoka, chuda, niebrzydka, z ruchami sztywnymi. Na zwykłych sukniach odziana była w kożuszek góralski i kocową, dużą chustkę, na krzyż złożoną. Z całej fizjonomii kobiety biła wielka poczciwość, bezpretensjonalność i tamiłość krzykliwa, życzliwa, co to sama narzuca się nieszcześliwym i pomocy potrzebującym.

— Niech będzie pochwalony! — zawołał ksiądz proboszcz od proga.

A kobieta dodała, drzwi za sobą zamykając:

— Napadliśmy cię, kochanko, a teraz już się nie wywiniesz i powiesz dobrodziejowi, dla czego wili z nami zjeść nie chcesz i co cię trapi. Odprowadziłam tylko dobrodzieję i zaraz do domu pędzę, żeby mi Kaśka strucli nie spaliła.

Jadzia, na pozdrowienie księdza odpowiedziawszy, ucałowała jego rękę, poczem ustami do ramienia kobiety przylgnąwszy uściśnęła jej dłoń kościstą.

— No, no! — zawołała kobieta. Już cię też strasznie ten robak gryzie! W najlepszy czas księdza dobrodzieję przyprowadziłam.

— Zostań pani, panno Marto — prosiła Jadzia, gdy kobieta, ucałowawszy ją, poprawiła chustkę i do drzwi się odwróciła.

— Nie mogę, duszko, nie mogę! — powtórzyła kobieta. Dobrodzieję ci zostawiam i strucli dopilnować idę. Zobaczymy się przy wieczery wigilijnej. „Jak mi Bóg miły“, zobaczymy.

Do proboszcza podskoczyła, coś mu na ucho szepnęła. Jadzię raz jeszcze pocałowała, poczem oboje pozdrowiwszy, wyszła.

Proboszcz już był zajął miejsce na kanapie między oknami, Jadzia usiadła naprzeciwko i rączki na stół złożyła, mówiąc:

— Doprawdy, nie wiem jak podziękować księdzu dobrodziejowi za zaszczyt dzisiejszych odwiedzin.

— Spełniłem tylko obowiązek duszpasterza — odparł proboszcz. Od Marty wiem, że tobie coś dolega, o czym z nią nawet mówić nie chcesz. Nie znamy cię wprawdzie od dawna, ale te cztery miesiące wystarczyły, aby cię polubić. Sierotą biedną jesteś i to dosyć, abym litość miał i współczucie dla twojej doli. Otwórz serce przedemną, lżej ci będzie, a może pomogę i poradzę. Mów, moje dziecko otwarcie; zbroić niczego nie mogłaś. Zdziwiło mnie tylko, że wigilii z nami obchodzić nie chcesz, a i Marta mnie nastraszyła,

więc przyszedłem dowiedzieć się, ile w tem wszystkim jest prawdy.

Jadzia słuchała proboszcza, mając oczy spuszczone; ręce zdjęła ze stołu, czując, że drzeć zaczynają. Gdy umilkł głos kapłana, podniosła na niego wzrok tak błagalny i strwożony, że kapłan nachylił się ku niej i powtórzył jeszcze łagodniej.

— Mów córko! To ulży duszy twojej.

Błękitne oczy Jadzi zaszyły łzami. Nagle, jakby już pannaować nad sobą nie mogąc, porzuciła swe miejsce i przed kapłanem przyklękła.

— Księżu proboszczu — mówiła, łkając. Jam was oszukiwała! Nie jestem tą, za kogo się wydaję. Ach, czemuż popadłam w te pęta!

Rozpoczęła się scena, jak przed konfesyonałem. Jadzia mówiła szeptem i często bardzo, łzy zwilżały sutannę pochylonego ku niej księdza. Opowiadała, jako zdawszy egzamin nauczycielski, otrzymała za protekcją dyrektora seminaryum posadę przy tutejszej szkole, lecz, że zanim tu przyjechała, poradzono jej, aby ukrywała, że jest żydówką; w przeciwnym bowiem razie, tak jej powiedziano, będzie narażoną na liczne nieprzyjemności, a bodajże czy nie na utratę posady, która w obecnem jej położeniu, jest kwestyą życia.

— Uśluchałam tej rady — mówiła Jadzia dalej. Nie widziałam w tem nic zdrożnego. Nikt tu o moje pochodzenie nie pyta! Chodziłam do kościoła nie na to, aby was oszukać, lecz że to stało się potrzebą mojej duszy. Wiara chrześcijańska już od dawna przemówiła do mojego serca. Nabożeństwa kościelne ściąły mnie zawsze ku sobie urokiem nieprzepartym. Kiedy tu przybyłam biedna, opuszczona i doznałam życzliwej opieki panny Marty — wtedy zolbrzymiało uczucie, lgnące bezwiednie do świata chrześcijańskiego. Spytasz, księżu proboszczu, dla czego nie wyznałam tej szlachetnej kobiecie, że jestem żydówką? Nie uczyniłam tego z obawy, że kierując się wiekowym uprzedzeniem, odepchnie mnie od siebie. Chciałam, aby mnie poznała, pokochała, później aki miałam zamiar, odkryć jej chciałam prawdę. Lękałam

się waszego gniewu, drżałam na samą myśl, że moglibyście odepchnąć od siebie nieszczęśliwą sierotę... pogardzić mną!... To jest przyczyna mojego smutku, a i powód dla czego wzdrygałam się zasiąść z wami do wigilii, chociaż tak pragnę, tak gorąco pragnę przełamać się opłatkiem!...

Proboszcz słuchał jej opowiadania, kiwając od czasu do czasu głową. Z początku groźnie zmarszczył brwi; wpatrując się jednakże w błękitne, łzami zroszone oczy Jadzi, w jej twarzyczkę tchnącą szczerością, złagodził gniew, a gdy umilkła, spytał:

— Czemu to, kiedy podoba ci się nasza święta wiara, nie zostałam chrześcijanką?

— Nie miałam do tego należytego przygotowania — odparła Jadzia. — Nie chciałam także, aby mnie posądzili, że to uczyniłam, aby otrzymać posadę. Dziś, księże proboszczu, jeśli pozwolicie, pragnę zostać chrześcijanką.

Proboszcz utkwiał w jej twarzy wzrok badawczy. Jadzia nie spuściła oczu przed jego wzrokiem; natomiast usteczka jej zadrżały, wyciągnęła ku niemu dłonie, jakby do modlitwy złożone i rzekła:

— Nie wierzycie mi księże dobrodzieju! O tak! Toż jestem z pokolenia paryasów, którzy obrzucani błotem waszej pogardy, roznamietnili się do pieniędzy, bo one dają im przynajmniej broń, którą wzajem was prześladują. A... ja... nie dla interesu ukrywałam się z swoim pochodzeniem. Był to Wallenrodyzm w mojem przekonaniu konieczny. Dziś, poznaję, że trzeba było wystąpić z otwartą przyłbicą. Cierpiałam i cierpieć strasznie, że was oszukałam, ale przebaczcie mi, bo nie zgrzeszyłam w złej myśli. Potrzebę wiary chrześcijańskiej uczuвам z chwilą, kiedy

Urwała wzruszona, przytem gwizd przejeżdżającej za oknami lokomotywy, która ciągnęła za sobą wagony zapelnione podróżnymi, przygłuszył jej mowę.

Ucichło znowu i Jadzia, która podczas tej przerwy wyjęła była z szufladki schowany tamże list, podała go teraz proboszczowi, mówiąc:

— List ten z opłatkiem miałam dziś posłać człowiekowi, który wraz z miłością ku sobie, natchnął duszę moję miłością dla wiary chrześcijańskiej. Nie mówiliśmy z sobą nigdy o miłości; różnice wiary stanowiły między nami przepaść... i tak cierpimy oboje.

Proboszcz przeczytał list, poczem nie spuszczać z niej oka, położył dłoń na jej głowie i szepnął:

— Zgrzeszyłaś, ale winę zmasałaś cierpieniem. Mówisz prawdę, sam to czuję. Pomodłę się jeszcze za ciebie do Przemienienia Pańskiego. Dostałaś łaski bożej przez oświecenie, radować się będę, gdy ja sługa, dokończę dzieła, rozpoczętego przez Ducha świętego. Módl się, córko! Matka Bożka cię nie opuści. Jesteś już chrześcijanką przez sposób myślenia twojego. Nie będę tym, który cię odepchnie. Przyjdź na wigilią do plebanii. Marta ci przebaczy, jak ja przebaczyłem.

Zrobił nad jej głową znak krzyża św. i kiedy Jadzia schyliła się, by ucałować jego ręce, pogłaskał ją po twarzy, i, pozdrowiwszy po chrześcijańsku, wyszedł.

Jadzią wróciła do stolika; przypadkiem wzrok jej zatrzymał się na porzuconym tamże liście z opłatkiem. Jakieś bolesne wspomnienie musiało szarpnąć w tej chwili jej duszę, bo ruchem rozpaczliwym podniosła dłonie ku twarzy, potem przyklękła przed kanapą i przytuliła do niej główkę.

Czy płakała, czy się też modliła? W pokoju było ciuchotko. Dziewczę, z przytuloną do kanapy głową, nie słyszało szmeru otwierających się drzwi; nie widziało, że na progu stanęła wysoka postać mężka, że przybyły, odsunawszy kołnierz futrzany, patrzył na jej klęczącą postać wzrokiem tklwym i błogą radością tchnącym; że wreszcie, cicho po dywanie stąpając, podszedł ku niej. Gdy dotknął jej ramienia, podniosła głowę; chciała krzyknąć, ale zamknął jej usta pocałunkiem i wziął w objęcia, gdy spoczęła na chwilę spokojna, jak dziecię na łonie matki.

— Moja żono — szepnął mężczyzna. — Będiesz nią, nieprawdaż?

— O, pragnę! — szepnęło dziewczę.

Gdy usiedli, on jej opowiedział, jak uprosiwszy kolegę, którego do tego miasteczka przenieśli, aby śledził postępowanie Jadzi i w razie potrzeby, czuwał nad nią, wiedział o każdym jej kroku; że z radością śledził jej znajomość z panną Martą, bo domyślił się, że przygotowuje się do przyjęcia wiary chrześcijańskiej. Ze nakoniec dzisiaj wyrwał się do niej, aby ją zabrać do swej siostry, która mieszka na wsi ztąd o trzy mile, dokąd zdążą, aby zasiąść z rodziną do wigilijnej wieczerzy.

Jadzia słuchała go z uśmiechem; gdy umilkł, ona zaczęła mówić: a kiedy mu opowiedziała dzisiejszą rozmowę z proboszczem, oboje zgodzili się na to, aby wigilią obchodzić na plebanii, a do siostry wysłać posłańca, aby ich dopiero nazajutrz oczekiwała.

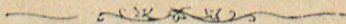
Gdy zmierzchno poszli na plebania.

Panna Marta przyjęła młodą parę najpierw zdziwiona, lecz, że lubiła naśladować proboszcza, tak i teraz, widząc, że ten przywitał Jadzię dobrotliwie i zadowolnił się kilkoma słowy, w których Jadzia wytłumaczyła niespodziane odwiedziny narzeczonego i wyraziła prośbę, aby im było dozwolone przełamać się opłatkiem — wprowadziła przybyłych do saloniku i przeprosiwszy ich, do kuchni wróciła, proboszczowi zostawiając fatywę bawienia gości.

Wkrótce Jadzia spytała nieśmiało, czy może pójść do kuchni, by pomódz pannie Marcie, na co proboszcz odparł z uśmiechem:

— Idź córko, a przypatrz się wszystkiemu dobrze, abys uczciwą wilją sporządziła w przyszłym roku dla swego męża.

Kiedy później łamali się ci czworo opłatkiem i życzyli sobie wzajem Dosiego roku, anioł miłości i zgody stał po za oknem i błogosławił im ...



Chybiony interes.

Słońce jeszcze nie weszło; nad ziemią unosiła się tak gęsto mgła, że o dwa kroki przed sobą nic widzieć nie było można. Mimo to jednak na traktcie mogiłskim, wiodącym do Krakowa, bezustanku turkotały koła ciężko naładowanych wozów, rozbrzmiewały śmiechy i żartobliwe swary jadących i pieszych. Poznawani po głosie, witali się wzajem wesoło, a witając, pytali, co na targ wiozą, lub prowadzą.

Z odgłosami śmiechów, turkotu kół, nawoływań, zmieszał się gwar zwierzęcych głosów. Przeważało wszakże rech-tanie prosiąt, najgłośniejszą jednak odzywały się gęsi; gęgały, modułując głos, jakby tu chodziło o popisy.

Ruch zwiększał się z każdą chwilą; ci, którzy później nadjeżdżali, spieszyli się bardzo i wymijali przedeń jadące wozy, naganiając konie do szybszego biegu i paląc z bata siarczyście, po krakowsku. Czuli bowiem, że już późno, bo słońce wychylać się właśnie poczęło z rąbków osłaniającej je mgły, która rzedniała, ulatniając się szybko.

W ogólnym tym ruchu jeden tylko człowiek żadnego nie miał udziału; stał na gościńcu, jak słup przydrożny, a oczy tylko żywo mu błyskały, gdy patrzył w stronę wozów. Jeźli spostrzegł, że naładowane, przytknął na chwilę powieki i dalej stał bez ruchu.

Nagle żywy ten słup poruszył się, nad głową bowiem zadzwonił mu znajomy głos:

— A wy do miasta, Herschu?

Hersch podniósł wzrok na pytającego, potem spojrzał na wygodny wóz i rzekł:

— Do miasta okazyi wyczekuję. Weźmiecie mnie, Kubusiu?

— A coby nie! Siadajcie!

Żyd po kole wsiadł na wóz; koń ruszył stępo.

— To do miasta na Sądny Dzień jedziecie? — przemówił pierwszy Kubuś.

— Byłem w drugiej wsi, zakupywałem zboże u dziedzica.

— Słuchajcie, a czy to prawda, że zawsze w Sądny Dzień jednego z waszych djabli biorą? — spytał znowu Kubuś.

— Za co mają djabli brać? Jak kto ma umrzeć, to umiera.

— Ano!... Tak słyszałem, to i powtarzam.

Żyd nic nie odpowiedział. Może dotknęła go ta uwaga, a może zajęła go w tej chwili jaka kupiecka kombinacya, bo zwiesił głowę, a raczej skrył kark w ramionach, ręce schował w rękawy kapoty i milczał.

Kubuś śmignął konia batem, wóz potoczył szybciej, lecz wkrótce jazda się zwolniła; snąć źle żywiony, czy leniwy był koń Kubusia.

— Siła nowego w świecie? — spytał znów Kubuś.

— Na co wam wiedzieć?

— Ano!... Czy wszędzie ta sama bieda.

— Oj, nie taka! Co tu wiedzą o biedzie! Tam u Moskale! Tam dopiero bieda skwirczy!

— Podobno i wiary utrzymać im nie wolno? Wyganiają lub na schyzmę przejść kazują?

— Dusi ich Moskal, dusi!

— Ano, to się nie dać! Po niewoli, to i robić, jak kazują, a w sercu nosić swojego Boga i modlić się w swoim

języku. Podatków tam takich nie ma; sambym tam wołał być.

— Co wy wiecie! — przerwał żyd. — Co wy wiecie — powtórzył, kiwając głową.

— A żydów sporo wyganiają? Wyganiają żydów?

— Oj, joj! — machnął ręką żyd i westchnął.

— Ale co tam żyd! — zaczął znów Kubuś. Wszędzie swój kawałek chleba znajdzie! Dał mu Pan Bóg takij-coś, że już swoją głową wszystko przemoże. A co nam chłopom? Ziemi się ino trzymać, co nas żywi, bo już w czem innem zdatności żadnej nie mamy. Weźmie się który do handlu, założy kramik, to i traci, bo chciałby od razu zbogacić się; wolą iść do żyda.

— A mówiliście, że żyd oszukuje!

— Oszukuje, coby nie! To już taka jego natura! Przecież żyd niczego nie ma, ino z oszukaństwa.

Żyd się zachnął, lecz poskromił gniew; zaciął usta i znów się zgarbił. Milczał, a w piersiach zagryzł się żal, pogarda i niechęć.

Słyszał to nieraz i zawsze milczał; lecz nie z pokory! On wiedział dla czego kark zgina! Ta pokora pozorna prowadzi go przez labirynt kupieckich kruczków do celu; do zabezpieczenia bytu swej rodzinie. I ot teraz na chłopskim wozie, okazyą, zbliża się do miasta, do swego domostwa. Tam oczekuje go żona i czworo dzieci. Najstarszy syn jest akademikiem; druga córka uparła się zostać nauczycielką; dwaj młodszy chłopcy w gimnazyalnych klasach!

— „Mędrsze te dzieci od niego — myśli Hersch teraz. Mają czas uczyć się i pieniądze, aby skupować książki. On pracuje dla nich; bo chce, żeby stały na równi z dziećmi inteligentnych chrześcijan. Im taki chłop nie powie, że z oszukaństwa żyją, toż na równi z chrześcijanami walczyć będą o socyalną pozycyą.“

Czegoż on nie robi, by umóžebnić swe nadzieje! Ileż świętych przekonań złożył już na ołtarzu świeżo odczutej ambicji!

On sam w starozakonnym jeszcze stroju; wygodniej mu z tem; nie potrzebuje zważać na swą toaletę; zresztą długi żupan służy mu nieraz zamiast koldry, gdy przespać gdzie w oficynie trzeba, lub na gołej ławie w podróźnej karczmie.

Na zewnątrz więc Hersch jest tylko kupczącym żydem. Znają go okoliczni ekonomowie i rządzący, znają włościanie, lubią nawet z nim rozmawiać, bo dobrze mówił po polsku. Lecz, że niebogaty, więc przychodzi do nich pieszo, lub zjeżdża okazyą, za co respektu mu już nie okazują; śmieją się jego kosztem.

On milczy zawsze, ale w domu wywnętrza się rad. A wtedy sam może o tem nie wie, że zasiewa w duszy jad nienawiści ku tym, którzy nim pogardzają, że podkłada miny pod gmach, do którego budowy sam cegłę po cegle znosił...

Nie! On tego nie wie, bo inaczej, czyżby kończył swe żale pełną nadziei pociechą, że jego dzieci podobnych krzywd nie zaznają?

Chciał asymilacyi, choć zapytany, co właściwie pod tem rozumie, odpowiedziałby, że chce, bo jego dzieci, jako wolnomysłne i nie handlowi, lecz nauce oddane, miały prawo żądać otwarcie szacunku chrześcijan. On poświęcał tradycyą swego rodu, żądając w zamian zapomnienia tego, co minęło i oceny własnej, osobistej zasługi swych dzieci.

Głębiej nie wnikał w istotę rzeczy. Nie mógł dużo czasu poświęcić rozmyślaniom w tym kierunku; cyfry, plany interesów pochłaniały jego myśli.

I teraz zapomniał wnet o przykrej uwadze włościanina; już tylko faktor sprytny, a pokorny, zwrócił się do Kubusia:

— Słyszeliście o tej fabryce, co ma stanąć w waszej wsi? — spytał jakby od niechcienia, a z boku śledził wrażenie, jakie wywoła.

— A coby nie! Słyszałem.

— I cóż, byłoby dobrze, he?

— No!... Przyszłoby do wsi pieniędzy trochę. Tyla chodzi bez roboty, byłby piękny zarobek.

— To czemu pola sprzedąć nie chcieliście?

— Gdyby to na fabrykę!

— A na cóż innego?

— Bo różnie tam gadają.

— Co gadają, to ja wiem; ale was tylko nauczyciel i ksiądz zbałamucili.

— Bo widzicie — mówił Kubuś — nikt z gromady zagonu nawet za tysiące nie odda żydom, boby nas do krzty zjedli. Oni trzymaliby się kupy i tak, jak w Poznańskim szwabskie kolonisty, co to przywędrowali z jedną krową i chudym psem, który wioził te ich graty, a potem zagrabili gromadzkie i gospodarskie pola zjedli, tak by i żydzi za niedługo nas samych ze wsi wygnali. A my co? Ziemi się trzymać musimy, to darmo! Co innego pod fabrykę, to i sprzedamy. Tożby my se wymówili, żeby wsiowi we fabryce mieli pierwszeństwo.

— A ja wam mówię, że to nie dla żydów!

— Ano!...

— Więc sprzedacie?

— Bo ja wiem.

— Gadajcie tu z chłopem! — z udaną, czy rzeczywistą irytacją w głosie, zawołał żyd. — Z wami interesu zrobić nie można, „choćby był i na wasze dobro“, „bo ja wiem“! Będziecie się długo ociągali, to pójdą panowie przedsiębiorcy do innej wsi i tam grunta zakupią, a wam co potem zostanie? Zal i zazdrość po niewczasie.

— A wszędzie to ziemia pod buraki dobra?

— Nie wszędzie, ale w trzeciej wsi taka dobra, jak i u nas.

Kubuś począł widocznie nad czemś myśleć, bo umilkł, a Hersch domawiał:

— Wam to źle będzie, jak sprzedacie za grube pieniądze te głupie trzy morgi, co macie? Po czterysta za morg, to dwanaście stówek. Słyszycie, dwanaście stówek! Cały dwór możecie gdzieindziej zakupić.

— Kiej to ojcowizna — szepnął Kubuś.

— Co ojcowizna! Jak wam dają tyle pieniędzy, co za nie dwa razy tyle gruntu kupić możecie! Kto wie, czyby wam Pietruszek kilka morgów nie odsprzedał, to i niedaleko waszej chałupy.....

— A cóż ja sam, kiej inni nie zechcą?

— Będą chcieli! Niechby jeden i drugi zaczęli, to już i drudzy pociągną.

— Pomówię we wsi.

— Zróbcie to, a będziecie mi dziękować.

— To wy faktorujecie przytem? Adyć był inny.

— A był. Teraz udali się ci panowie do mnie, bo zasłyszeli, że w tej wsi znajomy i wy mnie wierzycie. Ja żadnego z was nigdy nie oszukał.

— Prawda! Z was rzetelny dość żyd.

— Pogadajcie tylko o tem we wsi, a nie zapomnijcie powiedzieć, że jak się prędko nie zgodzą, to pójdą do trzeciej wsi; tam prosić się nie trzeba, to wy sami o tem wiecie.

— Ano!.. Będziemy jeszcze raz radzić.

— A radźcie! Tylko nie słuchajcie, co ksiądz mówi, jeno patrzcie, aby wam jak najlepiej było. Będę ja tam u was we wsi po świętach.

Zbliżali się już do miejskiej rogatki,

— Do samego miasta zajedziecie? — spytał Kubuś żyda.

— Do samego. Węgla chcę na zimę kupić, a i termin mam w sądzie.

— O co to?

— A skarżył mnie Wojnacik, bom mu nie oddał tych pięćdziesięciu reńskich, com se był u niego przed rokiem pożyczyl. Kiepskie czasy, to i z kąd miało się wziąć zapłacić? A tu i swój nie poczeka! Bieda okrutna, że to nikaj poratowania żadnego. Skoro o pieniądze idzie, to ci i nie brat i nie siostra, ni kum. Patrz ino na te dziesięć palców, bo i ta głowa cóż? Co wymyśli?

Hersch dyplomatycznie milczał i, nie rzekłszy już słowa,

zajechali na miejski bruk. Tu żyd zeszedł z wozu, zapłacił Kubusiowi za żadaną furmankę, i spieszenie się oddalił, jakby uważał, że każde słowo, któreby wymówił, mogłoby tylko popsuć rozpoczęte szyki.

Kubuś chwilę patrzył za nim, jakby miał ochotę zawołać go i o coś spytać; dał przecież temu spokój, i westchnąwszy tylko, skręcił w lewo ku oberży.

II.

Ktoby Herscha Lindermanna widział teraz u siebie w domu, kiedy wróciwszy ze wsi, używał chwilowego wywczasu, z trudnością by mu przyszło pogodzić to jego otoczenie z zwykłą figurą podrzędnego faktora, którego począwszy od dziedzica, aż do chłopą, każdy traktował z protekcyonalną łaskawością.

Leżał na sofie i odpoczywał; w koło niego była zupełna cisza. Żona krzątała się w kuchni, dzieci były w szkole. Z przymrużonemi oczyma rozmyślał, a musiały to być przyjemne myśli, które napływały mu do głowy, bo wypogodziła się zwykle strapiona twarz Herscha i jakaś błoga radość ukłasyła jego duszę.

A może był to tylko skutek wywczasu i spożytego śniadania, którego resztki stały jeszcze obok na stole? Może oddychał swobodniej w swem skromnem, ale czysto i wygodnie urządzonej mieszkaniu?

Drzwi z kuchni uchylily się i weszła Leja, jego żona.

Była to kobieta przystojna, czterdziestoletnia; perukę nosiła ciemną, rysy miała wschodnie.

— Śpisz? — spytała półgłosem, przystanawszy w progu.

— Nie śpię... cóż? — i już na wpół się podniósł.

— Jest tu jakiś chłop, chce widzieć się z tobą — odpowiedziała.

— Zawołaj go tu.

Leja wyszła i po chwili wsunął się Kubuś do pokoju.

— Hersch nie powstał z kanapy, usiadł tylko, zmierzyszy wchodzącego okiem badawczym.

— Włóżcie czapkę, ja nie sędzia! — rzekł, zamiast przywitania.

Kubuś trzymał bowiem czapkę w ręku i trochę przygarbiony, ostrożnym krokiem zbliżał się do stołu, przed którym siedział Hersch. Ogarnęła go dziwna nieśmiałość. Hersch, ten faktor — myślał sobie — co kontent był, gdy mu słomy wiązkę rozesłał na ziemi i przemocować u siebie pozwolił, mieszkał niby jaki pan. Spostrzeżenie to onieśmieliło go tak dalece, że aż nieznacznie poskrobał się w głowę; włożył jednak czapkę, jak mu kazano, chociaż temsamem pewność siebie nie wróciła.

— Cóż powiecie? — spytał go Hersch, przysunąwszy mu stołek najbliższy, jaki miał pod ręką.

Kubuś usiadł.

— Ze sądu idę, a przyszedłem się poradzić — rzekł. Nieśmiało, zgnębnym głosem powiedział te słowa.

Herscha ani to zdziwiło, ni uradowało; owszem od wejścia Kubusia pierwotny wyraz twarzy ustąpił przykreemu zamyśleniu, które zmarszczyło wysokie jego czoło, gdy z oczu cień troski wyglądał.

— Mówcie śmiało — rzekł do Kubusia.

— Kazali mi w ośmiu dniach Wojnacika spłacić — zaczął Kubuś opowiadać — bo jak nie, to przyjdzie mi z kosztami wielkimi mu to oddać. Gadali mi, że mogą przyjsć zająć mi krowę lub konia, że mają takie prawo. Tom se umyślił iść do was, może mi co poradzicie.

— A coż poradzę? Przecieżem nie lichwiarz, pieniędzy nie pożyczam. Co mam, to w interesa wkładam. Tem się nie trudnię.

— Umyśliłem se, że wedle tych gruntów pod fabrykę... bo niby rozważyłem se, że to po co tak będę klepać, kiej może być lepiej. Mówiliście, że za swoje pola mogę wziąć dwanaście stówek. To niby rachuję, by kupić gdzieindziej gruntu, a dostanę go po dwieście pięćdziesiąt za mórg. Ino że to ojcowizna — tu westchnął ciężko.

— Cóż z waszych trzech morgów.

— Dyc sami mówiliście, że niechby jeden zaczął...

— Tak, ale powinniście i drugich do tego namówić — przerwał Hersch.

— Niedużo nas i tak. Dziedzicowego jest w tym miejscu czterdzieści morgów, Perwika piętnaście, Gudzika sześć, Malinki pięć, Maryanny Wojnaryny dwie morgi, mojego trzy a reszta księży. Podobno sto morgów trzeba?

— Sto morgów i to na jednej przestrzeni. Z dziedzicem nie wiele jest korowodów, a co do gruntów kameralnych, niechby księża wydzierżawili je na lat piętnaście. Gdybyście choć trzech gospodarzy nakłonili, ochota wzięłaby drugich.

— Malinka i Maryanna Wojnaryna, wiem, żeby sprzedali.

— To przyjdźcie do mnie po świętach.

— A kiedy to kończą się święta?

— We czwartek. Załatwimy to może przed kuckami (święto szalasów), by wam wygoda się stała.

Kubus powstał z miejsca.

— Ano... bądźcie zdrowi!

Hersch przeprowadził go przez kuchnię aż do schodów, gdzie się pożegnali.

— Masz jaki interes z tym chłopem? — spytała Leja, gdy Hersch wrócił do pokoju.

— Jaki interes? Będzie interes, jak pójdzie! Tu zrobić tysiąc reńskich widzisz jest tak, jak tę szklanę ztąd, postawić tu. Tylko, że to znowu tak niepewne, jak ja nie mogę wiedzieć, co się stanie za miesiąc.

— Oj, żeby Bóg dał. Odłożyłoby się na wyprawę dla Malci.

— Jak Bóg da.

— Ładny zarobek! Więc to jest o te grunta dla tych panów? A na co oni tyle gruntu potrzebują?

— Czy ja wiem? Oni mówią, że chcą tam postawić fabrykę cukru i mieć obok pola pod uprawę buraków. Ale ja myślę, że tak nie jest. Mówił mi także jeden faktor, że to dla wojska na plac „egzeczyrki“ (musztry). Ale w takim ra-

zie, sami kupowaliby grunta. Co rząd pyta? Wyjechałaby komisya, otaksowała pola i koniec.

— A jak ty myślisz?

— Że i to nieprawda i to nieprawda. Na pewno nic nie wiem. Co mnie mówią, ja powiadam chłopom. Będzie ugoda, zawrze się kontrakt, ja wezmę swoje tysiąc reńskich i co mnie reszta obchodzi?

Rozmowę przerwali chłopcy, wracający ze szkoły. Przywitali ojca i pocałowali go w rękę. On ich pogłodził po włosach, uśmiechnął się, lecz o nic nie spytał, choć dwa dni ich nie widział.

Po dwunastej przyszła i Malcia, dorodna seminarzystka. I ona pochyliła swą zgrabną główkę, by ucałować rękę ojca.

— Wróciłeś, to dobrze! Mnie tak zawsze przykro, gdy wiem, że jesteś w drodze; ani zjesz porządnie, ani prześpisz się — rzekła.

I łagodne swe ciemne oczy zwróciła na ojca z wyrazem głębokiego współczucia i szczerej miłości dziecięcej.

— Oj, ciężki żydowski kawałek chleba! — westchnął Hersch.

Po chwili i najstarszy Ignacy przyszedł, ten przywitał ojca kiwnięciem głowy.

— A! Przyjechałeś dziś rano?

Ręki mu nie podał, ani bliżej przystąpił; poszedł dalej do swej stancyjki, gdzie złożył notatki, poczem wrócił do pokoju i usiadł przy nakrytym do obiadu stole.

Miedzy ojcem, a tym synem, nigdy do zwykłej nawet czułości nie przychodziło, chociaż Hersch kochał tego „przyszłego doktora“, a tenże mocno mu był wdzięczny, iż łoży na jego edukacyą.

Ojciec widział w synu wymarzone swe ambitne plany; temu ani przez myśl nie przyszło, że ten polski żyd, ten faktor o elementarnych wiadomościach byłby w stanie zrozumieć go.

Hersch nigdy bowiem nie zapu szczalsię z dziećmi w jakie społeczne dysputy, lub starał się wybadać jaki jest kierunek ich myśli. Jeśli kiedy pytał ich o postępy w naukach, co rzadko się zdarzało, to nigdy nie uczynił tego z zupełnem oddaniem się trosce, lub ucieście dziecka; nigdy rzeczywiście nie wytnął w ich gronie, nie rozradował szczerze! Wiecznie mu w głowie snuły się cyfry, kombinacye interesów, zawsze myślał w duszy:

— O, jak ciężko przychodzi żydowi ten kawałek chleba! Mózg trzeba wysuszyć!

A pozornie tak lekko, tak bez mozółu zarabiał.

III.

U bogatego Perwika zebrało się kilku gospodarzy na naradę. Trwać już ona musiała od dłuższej chwili, o czem świadczyły mocno ożywione ich twarze i ruchliwe gesta.

W środku przed długą ławą stał stół, na nim kilka szklanek z niedopitą herbatą; obok leżał nóż i rozpoczęty bochen chleba; na talerzu zaś został się jeszcze kawałek słoniny.

Wszyscy, jako w niedzielę świąteczne mieli na sobie odzienie; dym cygar i fajek rozchodził się po izbie i jakby mgłą otaczał niektóre postacie.

Był tu Kubaś, Gudzik, Malinka, kilku ze starszyny, między nimi sędziwy Gudźgała i radny Marcin Korynta; z młodszych wyróżniał się postacią mądry, a czytany Olech. Oparty o wysoko i pięknie zaścielone łóżko, stał stary, bezdzietny Perwik i wpatrzony w Olecha, słuchał jego mowy.

I ci, co na ławie siedzieli, lub stali przy ścianie, wszyscy mieli oczy zwrócone na wysoką, dorodną postać Olecha, który jedną rękę wetknąwszy za pas szeroki, drugą gestykutował, przemawiając do zebranych dźwięcznym, donośnym głosem.

Młody to był jeszcze gospodarz, mógł mieć około lat dwudziestu ósmiu; słuchali go jednak z zajęciem i najstarsi,

bo i rozum jego i piękna wymowa, dawno zjednały mu mir we wsi.

— Nie dobrze to — mówił właśnie — puszczać na wiatr takie słowa. Wiatr rozniesie dalej i złe między ludźmi zasiane. I cóż, że są podatki wielkie, lepsze już to, jak niewola! Nikt nam nie zabiera, co najświętsze nam jest. Nikt nam przemocą ziemi zabrać nie może, ani wiary porzucić nie zmusza. Nigdy nie mówcie, że u Moskala lepiej. Wy Kubusiu mówicie, że można w duszy modlić się po swojemu, a robić kiej mus, jak oni każą. Ano, to wy jeszczebyście na tem jako tako wyszli, ale już wasze dzieci mniejby znały swój język i swej wiary świętej rozumiały, a cóż dopiero wnuki! Moskali szczerych odchowalibyście se, a jakbyście to odpowiedzieli przed sądem Bożym? Z wiarą ukrywać nie godzi się, a mowy naszej na inną zmienić anibyście mogli. Nie zazdroście tamtym pod zaborem rosyjskim, choć może lepiej im się wiedzie; biedniejsi oni od nas! Nie durzyć się trzeba, że gdzieindziej lepiej, ale pracować i oszczędzać na swoim! Rachujmy się z czasem i pieniędzmi, uczmy się od mądrzejszych, słuchajmy starszych, uczmy z książek i od tych co byli w Ślązku i Czechach, i widzieli, jak to dziś uprawia, się rolę i chodzi około gospodarstwa. Że urodzaje już od trzech lat nie dopisują, ano to trzeba nam się wziąć na inny sposób do pracy! Dla czego gdzieindziej po wsiach założone zostały kółka rolnicze? Zgody, jedności u nas nie ma! Ale nie o tem dzisiaj; wspomniałem to tak o tem mimochodem, a dla tego, aby podać jeden dowód więcej, że nie jesteśmy między sobą, jak bracia, synowie jednej ziemi, ale jakby wrogami!

Po cichu wzbierająca wrzawa, rozlała się teraz wybuchem różnych krzyków:

— A to co?

— Cicho, dajcie mu mówić.

— Zebraliśmy się, by radzić, ale nie słuchać wyrzutów niesłusznych. A bo my to pijaki, lajdaki, czy co?!

— Zagłuszył wrzawę donośny głos Olecha.

— A jak się już złodziejem nie jest, ani pijakiem — zawołał — do wyrzucenia sobie nic nie macie? Tak, przyszliśmy radzić! mówili inni starsi gospodarze, chcieliście bym ja swoje powiedział, a słuchać teraz nie ochota.

— Niech Olech mówi!

— Mów, będziemy słuchać — wołały głosy.

— Dobrze, będę mówił; orzekną potem starsi gospodarze, czy tak, jak radzę, zrobić trzeba. Narzucać się nie myślę, będzie mógł potem każdy powiedzieć swoje i zrobić, jak rada wszystkich postanowi. Mamy się kłócić, to lepiej rozejść do domu, bo tylko przy zgodzie coś zrobimy i zaradzimy złemu, które się stało.

Teraz była zupełna cisza. Olech mówił dalej:

— Kiedy słyszałem o tym kupnie gruntów pod fabrykę cukru, pierwszy między innymi doradzałem, byśmy nie byli temu przeciwni! Sam chciałem sprzedać te dwie morgi, co w tym miejscu przed dwoma laty do swego dokupiłem. Bo gdyby tu stanęła fabryka, parobcy, którzy teraz przesiadują w karczmie, bo nie mają w zimie co robić, pracowaliby z ochotą w fabryce, bo nęciłaby ich dobra zapłata. A teraz biedni komornicy? Tak ale nie jest. Nie dla fabryki chcą naszej ziemi. Prawdy nie mówią, a jak tu wierzyć, gdy z prawdą kto się ukrywa. Mówi ksiądz i nauczyciel, że to dla żydów; mamyż potem pójść do nich w służbę? A do tegoby przyszło, bo za mało mamy doświadczenia! Umiemy tylko ziemię orać, siał i zbierać, aleśmy nie nauczyli się jeszcze myśleć i rachować. Pieniądze tylko u tego mają wartość, który niemi zarabiać umie. A który z nas zna się na jakim przemyśle lub handlu? Nie zaraz trafiłoby się gruntu innego zakupić, a z procentów kapitału, którybyście złożyli do kasy oszczędności, mielibyście 4 i pół guldена od sta. Wy Kubusiu z waszych trzech morgów wyżyjecie, a siedzicie tak i żyjcie z procentów nawet z dwunastu stówek, któreby wyniosły... zaraz... dwanaście razy cztery jest czterdzieści osiem, a dwanaście razy po pół reńskiego jest sześć. Czterdzieści osiem

a sześć jest pięćdziesiąt cztery. Czy wyżylibyście z pięćdziesięciu czterech reńskich rocznie? A nawet nie mielibyście tyle, bo, sprzedawszy grunt, musielibyście dług bankowy oddać; ubyłoby wam zaraz sto pięćdziesiąt reńskich z kapitału, więc i z procentów blisko siedem papierków na rok. Musielibyście zatem, brać z kapitału na każdą ważniejszą potrzebę i powoli przyszloby do tego, żebyście i gruntu i pieniędzy nie mieli. Tak z każdym z nas! A więc radzę nie sprzedawać ani piędzi ziemi, nietylko teraz, ale nigdy! I dziedzic się usunął i księża w dzierżawę puścić gruntu nie chcą.

— Kiedyśmy zadatki wzięli nieśmiało ozwał się głos Kubusia.

— To oddać!

— Dobrze mówicie — westchnął Malinka.

— Dużo wzięliście zadatku? — spytał Olech Kubusia.

— Pięćdziesiąt; no te, com to oddał Wojnacikowi.

— Więc ich nie macie! Dobrze. A wy ile? — zwrócił się znów Olech do Malinki.

— Stówkę wzięłem.

— I macie ją jeszcze?

— A dyć są, ino...

— Cóż?

— Wzięłem z niej na tymczasem dziesiątkę; pieniędzy mi trza było; musiałem przecież chrzciny sprawić.

— A gdybyście byli nie mieli tych stu reńskich? — spytał Olech ostro.

— Byłbym wieprzaka sprzedał, bo go na to moja baba chowała.

— To go teraz sprzedacie.

I jakby był pewnym, że to nastąpi, poszedł dalej do Gudzika.

— A wy ileście wzięli?

— Pięćdziesiąt.

— I są jeszcze?

— Cała pięćdziesiątka.

Olech swobodniej odetchnął, jakby chciał powiedzieć:

— Chwała Bogu, że choć jeden — a głośno spytał: Podobno Maryanna Wojnaryna także coś wzięła. Nie wiecie ile?

— Ta widzi mi się, że dwadzieścia pięć — odpowiedział Kubuś.

— Pewno już połowę przepiła? — zamruczał stary Korynta.

— Dwadzieścia pięć — powtórzył Olech. Trzeba będzie rozmówić się z nią; może już coś ujęła, to trzeba jej będzie pożyczyć — tu, zwrócony do Korynty, dodał: Córka to po waszej siostrze, na was kolej pożyczyć jej ile będzie potrzeba.

— A cóż mnie to obchodzi? — odparł Korynta. Niech se korale zastawi, albo i co. Mnie do niej tyła, co nic.

— Córka to po waszej siostrze!

— Już dawno ma swoje lata, by sama dała sobie radę. Ma krewnych po mężu.

— Poradzimy jakoś — rzekł Olech. Wy lepsze macie serce od gęby. A co do was Kubusiu, to wszyscy się złożymy na te pięćdziesiąt reńskich. Po co iść do żyda i lichwę płacić? Ciężkie czasy bo są, to też nie na jednego to złożymy, ino każdy z nas wedle majątku swego zaofiaruje grosz, a wy Kubusiu kiej pieniądze mieć będziecie, oddacie je gospodarzowi Perwikowi i od niego każdy se odbierze, co teraz zaofiaruje.

Twarze gospodarzy przedłużyły się mocno i szmer tłumionej niechęci wzrastał z każdą sekundą. Olech to spostrzegł; powiódł okiem po zgromadzonych i zawołał:

— Nie radziście temu, co powiedziałem, a przecież jeśli ma być dobrze, inaczej zrobić nie można. Nie mój rozum to, co tak poradził. Tak piszą mądrzy a dobrzy ludzie po kciężkach i w gazetach, żebyśmy se przykład z tego brali, jak postępować w takich wypadkach. Wiem, że trudno jest wyjąć na taki czas pieniądze, ale przecież teraz łatwiej niż na wiosnę. Zebraliśmy z pola jako tako, przecież nie jesteśmy bez centa.

— Dobrze to wam mówić, bo zawszeście są przy pieniądzach — ktoś ozwał się z boku.

— Jest chwalić Boga, bo pracuję!

— A my to nie pracujemy?

— Nie każdy jednak — odparł Olech lakonicznie.

— Oj, mądryś ty, Olechu z tych książek — rzekł Korynta. To my mamy pracować na tych, co pieniądze marnują? Niech Kubuś krowę sprzeda, a będzie miał pieniądze.

— Krowy pozbywać nie trzeba — zawołał Olech — teraz było tanie, a coś bez krowy przy gospodarstwie? Perwiku! Stary, a poczciwy Gudźgało! Przemówcie wy do nich, może starszych usłuchają! Toć nie dla Kubusia pożyczamy, nie jemu dajemy, ale składamy te pieniądze dla naszej świętej ziemi, którąby nam wydarli.

Sędziwy Gudźgało podniósł się z ławy; w milczeniu rozpiął pas, wyjął całą dziesiątkę i zdjawszy z półki, która wzdłuż ściany biegła przystrojona w fajansowe talerze, zdjawszy z niej jeden talerz i na nim papierową dziesiątkę złożywszy, zwrócił się do Perwika:

— Kumotrze, chodzę po kweście — rzekł wesoło.

Perwik się uśmiechnął; poszedł do alkierza, skąd przez uchylone drzwi widzieli ci, którzy w izbie pozostali, jak otworzył skrzynię, pieniądze z niej wyjął i z niemi do izby wrócił. I on również dziesiątkę położył na talerzu. Gudźgała, ominąwszy starszych, przystąpił z uśmiechem do Olecha. Ten schylił się do kolan starca i w rękę go pocałował, jakby to jemu samemu dobrodziejstwo jakie zrobił, poczem piątkę na talerzu złożył. Nie mówiło się słowa — milczeli wszyscy a siwy, trochę przygarbiony, Gudźgała z uśmiechem cichym na ustach przystępował do nich i tylko talerz bliżej podsuwał. Wtedy odpinano pasy i sypały się papiery i szóstki...

Słowom towarzyszył więc czyn, i choć niektóry westchnął, zmarszczył się, cel był osiągnięty. Co więcej, mimo wprawie objawionej niechęci, gdy teraz Gudźgała, oszczędzając wszystkich, zaczął zliczać pieniądze, na twarzach gospodarzy

odmalowało się inne zadowolenie, jakiego zwykle doświadczają ci, którzy mają sposobność wzięcia udziału w szlachetnym uczynku.

— Jest czterdzieści osiem reńskich i pięćdziesiąt centów — przemówił Gudźgała. — Kto da resztę?

Prawie na to weszła Perwikowa, która dotąd w alkierzu w książce do nabożeństwa czytała; przyszła lampę zaświeceć, co wisiała u pułapu. Powiedziała o tem, wyrывая się z rąk Olecha, który ją się do niej przymilać.

— Sam to zaraz zrobię — zawołał Olech i już lampę zdjął, potarł zapalkę, zaświeceł i napowrót lampę zatknął.

— Coś mi się ty nadto przymilas, mój krześniaku — rzekła Perwikowa z uśmiechem. — Wiem, mój chłop dał, teraz na mnie kolej. Ano, nie mamy dzieci, trzeba dać. Ile wam brakuje?

— Papierka i pięćdziesiąt centów — odezwał się Perwik. — Podśluchołaś nas matko! Godzisz się? A wiesz, ilem ze skrzyni wziął? Wyszła była potenczas, kiej wyjąłem pieniądze — przekomarzał się ze żoną.

— Oj stary, stary — pogroziła mu ona również z uśmiechem. — Dalesz to ze swoich, a ja dam z mojego. A nie mam to pieniędzy z mleka i za jaja, com je w Piątek sprzedała?

Wyjęła z zanadza chustkę, gdzie w węzélku schowane miała pieniądze; odwiązała, wydając żadaną od niej kwotę.

— Słyszałam wprzód, co Olech mówił, tom se zaraz pieniądze wzięła ze skrzyni, bo umyśliłam dać pierwsza „na ochotę“.

— Bóg zapłać — zawołał Gudźgała; zgarnawszy w chustkę wszystkie pieniądze. — Od Korynty nie nie chciałem brać — mówił dalej — a to dla tego, że będzie musiał przyjść w pomoc Maryannie Wornarynie. Kubuś! A gdzież się on podział? Trzeba mu dać pieniądze — zawołał.

Dopiero teraz zauważyli, że Kubusia nie ma w izbie.

Lecz gdzież był?

Za łąką, gdzie mgła wieczorna unosiła się nad szarą,

nagą ziemią, stał Kubuś z dłońmi, jak do modlitwy splecionemi.

— Skarałeś mnie, Boże, za to, że jakby Judasz ziemię świętą chciałem sprzedać — szeptał. — Jak dla biedaka tam zbierali! Gdybym sam był poszedł pożyczyc przedtem, nie daliby; ale zebrali, jak dla biedaka po pogorzeli.

W urywanych zdaniach słowa te wyrzucał z przepełnionej żalem piersi.

Po co tu zaszedł? Dla czego przystanął na miedzy, która grunt Wojnaryny od jego pola oddzielała?

Sam o tem nie wiedział. Wpatrzony w swoje zagony, o czemś dumać począł; coś się budziło na dnie chłopskiej duszy.

Czy to był skutek tych dumań? Jak człowiek, któremu najdroższe chcą odebrać, przypadł do zagonu, ręce zagłębił w wilgotnej ziemi i usta do niej przytknął.

Powstał za chwilę i jakiś pacierz krótki szeptać musiał, bo uchylił czapki, jak zwykł był czynić, gdy imię Boga lub Pana Jezusa wymawiał.

Powolnym krokiem się oddalił, lecz już nie wrócił, skąd przyszedł; poszedł do swojej chałupy.

Zdała jeszcze doszedł go śpiew kobiecy, przeciągły o monotonnych dźwiękach przerywany chwilowem huś, huś, huś! To jego kobieta usypiała najmłodsze dziecko. Ciemno było w izbie, tylko na kominie płonęło łuczywo; widocznie Kubusiowa przystawiła wieczerzę. Obszedł gnoisko i przestąpił próg niskiej, starej chałupy, a potem przez sień chropowatą, z której po jednej stronie do stajni, a po drugiej do mieszkania się wchodziło, do izby wszedł.

— Przyniosłeś Jasiowi bułkę? — spytała go żona, gdy przymknął drzwi za sobą. — Nijak usnąć nie chce.

— Nie przyniosłem. Nie chciałem do karczmy wstępować; poślij Marysię, to kupi.

— A wiem to kaj uciekła? Sześć lat już dziewczynie, a goni się to i goni z dziećmi.

Umilkły głosy i tylko bieguny kolebki stuknęły głośniejsz

o grunt glinianej podłogi i huś, huś, huś, niecierpliwym głosem wybiegło z piersi kobiety.

Kubuś do alkierza poszedł; tam po ciemku zdjął z siebie świąteczne ubranie i w codziennem już wszedł napowrót do izby, gdzie zaświeciwszy małą, naftową lampę, na oknie ją postawił.

W podwójnem tem oświetleniu, niska, różnemi wyziewami przesiąkła izba, której połowę wielki piec z przysiadaczem zajmował, wyglądała raczej na czysto wymiecioną stajnię, skąd podściółki i żłób wyprzątnięto, niż na mieszkanie ludzkie.

Wzdłuż ściany pod oknem stała długa, stara ława, po jednej jej stronie blisko drzwi żarno, po drugiej, mały niski stół o dwóch nogach i dwa małe stolki. Z boku, na przybitych do ściany pułkach mieściły się garneczki, łyżki, dwie miski: jedna duża, druga nieco mniejsza. Kolebka, którą teraz przed ławą umieszczono, zwykle stała w alkierzu przed łóżkiem. Smutno tu było. Ni obrazka świętego, któryby przystrojił te brudne, zadymione ściany, nie, coby oko rozweseliło. Z każdego kąta przemawiała tu bieda, która ledwo żołądek zaspokoivszy, ciało jako tako odziewszy, już na nie więcej się nie zdobędzie. Nawet w alkierzu prócz łóżka usłanego dwoma poduszkami i pierzyną, obrazu Matki Bożkiej, starej skrzyni na przyodziewę, nic więcej nie było.

— Coś nie w humorze wróciłeś z tej narady — przerwała dłuższe milczenie Kubusiowa.

Popuściła sznur, którym wprawiała w ruch kołyskę (dziecko widocznie usnęło), wstała i podeszła do pieca.

Pewno tam mądry Olech rej znowu wodził — mówiła dalej, miesząc w garnku krupnik — wygadywał znowu, jakby z jakiej książki kto czytał. Kiedy centa dać, to żaden by nie chciał.

— Toż dali — ozwał się przygnębiony głos Kubusia.

— Dali — podchwyciła ona. — Komu dali? Czemu nie mówisz, ino jako jaki kolek siedzisz? Zwymyślali cię, czy co? Komuż dali? Jak? Czemu nie mówisz?

— Uradzili, że co który wziął zadatku, to wróci, a komu brakować będzie do tych pieniędzy, dodadzą.

— No, a dla ciebie?

— A dyć dla mnie wszyscy się złożyli. Bo Gudzik ma wszystkie pieniądze ile ich wziął; Malinka sprzeda prosiaka, żeby znowu miał całą stówkę; a Maryannie Kornarynie stary Korynta dać musi, co ujęła.

— Widzicie, a dali! Ktoby się spodział! To Olech tak uradził?

— A on.

— No, to cóżes taki smutnawy? Myślisz, żeby to było lepiej sprzedać za grube pieniądze nasze pola, a mielibyśmy gdzieindziej dwa razy tyle gruntu?

— Już mi to z głowy wyszło! Nijakich ja już interesów robić nie chcę. Nie moja to ziemia, bym nią handlował. Po ojcach, to i ja znowu swym dzieciom przechować ją muszę. Zgrzeszyłem, skarał mnie Bóg, bo tam zbierali jakby dla biedaka i pogorzańca. Ale ja im oddam... przysięgłem pod gołym niebem... dotrzymam. Będę jak wół pracował, oddam! A już mnie żaden żyd nie skusi.

— A nie mówiłam, żebyś żydowi nie wierzył? I mnie się coś widzieć nie chciało, że to tak, jak Hersch mówił. To tak niby, jak z tymi, co do Ameryki mają jechać. A kiej masz im oddać te pieniądze? — dodała po chwili.

— Oni mi ta nie mówili kiej mam oddać, ale ja oddam, o, oddam!

— Może jako Bóg da! Jałówka się odchowa, sprzedamy. A zadatki jutro oddacie?

— Pewno we Wtorek, bo to Malinka wieprzaka będzie chciał sprzedać i drudzy dnia zmitrężyć nie zechcą; w targowy dzień prędzej który w mieście co ma do roboty.

— A gdyby zadatków odebrać nie chcieli?

— Mówili na naradzie, że kłopotu nijakiego nie będzie, bo inni sprzedać nie chcą, a z naszych kilkunastu morgów tyła, co nic. A do reszty pewno Olech z nami pojędzie.

— Dopiero to żyd się zamartwi. A dobrze mu tak! Dobry się wydawał, a jak to zdrażliwy.

— Chciał zarobić, przecież faktor — odparł Kubuś.

— Zarobić! Już to by oni wszyscy chcieli na lekki sposób zarobić! Niech pracują, jak my! Albo w takiej chałupie mieszkaliby który? Małoś się naopowiadał, jaka u niego parada! Już też oni se dobrze żyją na świecie. — Gdzież bo też ta Maryśka? — przerwała dysputę — goni się to, a goni! Możebyś ją zawołał ode progu; wieczrę idę dawać.

W niedługą chwilę wszyscy troje obsiedli niski mały stół, na którym dymiła się misa omaszczonego krupniku.

IV.

Zgnębiony jakiś i małomówny wrócił dziś Hersch do domu. Zaraz po śniadaniu wyszedł był do przedsiębiorców, którym grunta faktorował, a wróciwszy do żony się nie odezwał, choć go o ten interes pytała.

„Chwieje się“. O tem wie już Lea od tygodnia; mimo tego jednak nie traci nadziei. Tysiąc guldenów zarobku! Ileż miesięcy wałęsania się po ulicach miasta, po wsiach; ileż źle przespanych nocy, ilorakie przykrości, upokorzenia znieść Hersch musi, zanim zarobi tę kwotę!

Pali ją ciekawość, lecz nie śmie wejść do pokoju i powtórzyć pytania. Przez uchylone drzwi widzi, jak mąż siedzi przy biurku i coś kreśli na papierze.

— Co to może być? — Zapytuje się Lea.

Do pokoju jednak nie wchodzi, bo wie z doświadczenia, że gdy Hersch sam nie wszczyna rozmowy o interesie, nie ma i co się go pytać, bo ją tylko ofuknie. Zwykle tak bywa, gdy interes kiepski, lub nie udał się. Drażnić go więc Lea nie chce, choć czuje, jak z każdą chwilą powiększa się jej niepokój, a złe przeczucie wkrada do duszy.

— Żeby tylko nie skrupiło się na obiedzie — myśli

Lea dalej — jak zmartwiony nie będzie chciał jeść obiadu, dzieciom zatruje tę chwilę odpoczynku po lekcjach. A Ignacy zwykle taki zły, gdy nie zje dobrze! Ta Malcia znowu zaraz to sobie do serca bierze!

Ale nic z tego wszystkiego. Gdy nakryto do obiadu i wszyscy zasiedli do stołu, Hersch przysunął sobie także stółek, na którym przed biurkiem siedział i pierwszy łyżkę rosołu podniósł do ust.

Zgnębiona mina ojca odbiła się w różnych odcieniach na jego rodzinie — spożywano jedzenie w milczeniu.

Sprzątnięto właśnie pierwsze talerze, gdy jakiś niezwykle ruch w kuchni zbudził Herscha z apatycznego zamyślenia.

Z żywością się podniósł i drzwi do kuchni uchylił.

— A!... To wy?! Chodźcie dalej.

— Poczekamy, ozwał się ztamtąd wśród szmeru innych głosów, dźwięczny głos Olecha. Nie będziemy przy obiedzie przeszkadzać.

— Nie, nie! Chodźcie dalej.

Do pokoju weszło kilku włościan i jedna kobieta.

Hersch podsuwał każdemu stółek, a sobie przed biurko jeden przysunawszy, siadł na nim i twarzą ku przybyłym się zwrócił.

Przy stole opróżnionym przez głowę rodziny i dwóch chłopców, którzy podali swe stołki, pozostał Ignacy, matka i Malcia. Ignacy, nerwowym ruchem przekładał noże i widelce w różne figury; Malcia z ciekawością patrzyła na przybyłych, machinalnie bawiąc się frendzlami serwety; Lea wyszedłszy do kuchni zadysponować służącej, by zaczekała z podaniem mięsa, wróciła teraz na swe miejsce, patrząc ciekawie to na męża, to na włościan. Chłopcy stali oparci o krawędzie łózek, szeptaając sobie na ucho jakieś uwagi.

W pokoju przez chwilę słyszeć tylko było można chrząkanie Gudzika, sapanie Maryanny Kornaryny, stuk widelcy, którymi się bawił Ignacy i szmer szeptających ze sobą chłopców.

— Wy z zadatkami przyszli, — przerwał Hersch mil-

czenie. — Ale po co wy, Olechu? zwrócił się z zapytaniem do młodego chłopca o wyrazistej i inteligentnej twarzy.

— Nie dziwcie się, Herschu, odpowiedział Olech z uśmiechem — nieśmieli byli i mnie wybrali, abym z wami po dobremu wszystko załatwił. Głupio zrobili, że wzięli zadatki; nie wiedzieli o co chodzi, to szli na oślep. Wam i tak nie z tego, bo to są najbiedniejsi, co na sprzedanie gruntów przystali. Bieda ich przypiekła, to i chwycili się tej deski rantunku. Gromada jednak na to przystać nie może i dla tego, co możniejsi dopomagali tym oto, by wrócili zadatki. Kubusia ja zastępuję, bo czasu nie miał dzisiaj przyjechać; jeżeli tu będą jakie formalności... chociaż znając was, Herschu, wiem, że procesować się nie będziemy.

Hersch z przymusem się uśmiechnął.

— Tu wszystko pójdzie „po dobremu,“ rzekł, ja zadatki wezmę. Mnie panowie przedsiębiorcy kazali te pieniądze brać, oni są poczciwi i dobrzy ludzie, bo za niedotrzymanie zobowiązań mogliby mieć do was jakie pretensye. Ale ja im mówił, żeby wam krzywdy nie robić. Wezmę pieniądze, a wy tylko podpiszecie się tu na tym papierze i dostaniecie każdy kwit, jako, że wrócił zadatki.

— Podpisać, ozwał się głos Gudzika, my nie podpiszemy, tak nie wiedzieć co podpisujemy. Na ślepo wam wierzyć? Toć Olech z nami przyszedł, żeby się wszystko działo, jak powinno być! Kto wie, co tam stoi na tym papierze. Podpiszemy, jak dacie Olechowi przeczytać.

Z uśmiechem, bez gniewu, lub cienia obrazy, znając ten lud i jego nieufność, podał Hersch żądany arkusz Olechowi do przeczytania.

Olech półgłosem czytał kwit.

— Tu nic nie ma — rzekł po przeczytaniu — jak tylko, że oddaliście każdy osobno, to jest Gudzik, Kubuś, Sabinka i Maryanna wzięty zadatek, a zatem, ani teraz, ani na przyszłość nie macie pretensyi do odebrania pieniędzy za grunta. Widać ci panowie myślą, że chcielibyście użytek

zrobić z tego pisma, co wam dali, że po czterysta za mórg zakupują wasze pola.

— Widzicie — przemówił Hersch — jacy wy nieufni — czy to chcę was oszukać? Patrzcie, tu każdy ma kwit za oddany zadatek.

— Bo już trudno uwierzyć — odezwała się Maryanna — jakeście nas raz oszukali. Gadaliście o fabryce, a my teraz wiemy, że to dla żydów. Nie dosyć, że już żydzi wszystkim rządzą i wszystkim są, toby jeszcze chcieli naszą ziemię zagrabić. Ale nie doczekanie wasze!...

— Jużeście dziś pili — przerwał jej Olech.

— Kiej'm piła, to za swoje! A mówić będę, bo ja się tu nikogo nie boję. Przed urzędnikiem stoję, czy co?

Ani się spostrzegła, jak silną ręką Ignacego uchwyciona za ramię, wypchniętą została do sieni.

W pokoju śmieli się chłopci z tego zajścia; Hersch, powstawszy, patrzył zdumiony za synem.

Ignacy wszedł mocno wzburzony.

— Ojcie — rzekł w niemieckim języku, by go chłopci nie zrozumieli — skończ z nimi! Ty się obchodzisz, jak z ludźmi, a to jest sfanatyzowany motłoch! Trzeba nie mieć ani krzty poczucia osobistej godności, aby pozwalać w swoim własnym mieszkaniu na takie sceny.

— Panu o to chodzi, co ta kobieta powiedziała — wmieszał się Olech — nie ma co na taką pijaczkę zważać.

— A ten inaczej mówił? wskazał Ignacy na Gudzika.

— Z pana gorączka — uśmiechnął się Olech. — Niby to źle, jak kto pilnuje swego. Dla czego żydzi dzisiaj tacy możni, a my biedni? Tylko dla tego, że oni umieją chodzić koło swych interesów, a my każdemu wierzyli i dali się oszukać. Teraz jesteśmy może zbyt ostrożni, więc i nieufni. Ale nam to trzeba wybaczyć.

— Wiejski Arystoteles — mruknął Ignacy.

— Nie przyszłiśmy ubliżać nikomu — mówił Olech dalej — my ta z ojcem znamy się dobrze i go lubimy; nijakich

zatargów nie mieliśmy z nim nigdy i teraz w zgodzie się rozejdziemy.

— Dobrze, już dobrze — ozwał się Hersch. — Podpiszcie się, więcej nie mamy o czem mówić.

— Podpiszcie się — zwrócił się Olech do chłopów. — A wam Herschu dziękujemy, że tak bez korowodu wszystko poszło. Nie bądźcie nam krzywi, że interes chybił.

— Mnie też do was nic.

— Ano to zgoda!

I zadowolony Olech, że wszystko nad spodziewanie gładko poszło, wyciągnął ku niemu rękę.

— Zgoda! — Hersch swoją mu podał; uścisk był odwzajemniony. — Niech wejdzie Maryanna — rzekł — trzeba, żeby i ona podpisała.

Zawołano Maryannę, która, mrucząc coś po cichu, krzykiem oznaczyła swe nazwisko na kwicie.

Interes był załatwiony i chłopci powstali, by odejść.

— Bądźcie zdrowi! Ostańcie z Bogiem!

Odpowiedziano im kiwnięciem głowy; jeden tylko Hersch, przeprowadziwszy ich, przyjmował do uścisku podawane sobie dłonie chłopów.

Ze zmniejszonym apetytem, w bardziej jeszcze przykrem usposobieniu zasiedli Herschowie znów do przerwanego obiadu.

— A zatem nic z tego interesu?! Szkoda — przemówiła żona. — Nie było ci przeznaczonem zarobić tyle pieniędzy.

— Może co jeszcze z tego będzie — rzekł Hersch. — W trzeciej wsi można grunta kupić, tam z dziedzicem tylko sprawa, a ten w długach po uszy. Wprawdzie przyczepiło się tu dwóch obcych faktorów, ale przecież i mnie się coś oberwie. Ty Ignacy — zwrócił się do syna — strasznie jesteś prędki! Co tam było zważać na pijaną kobietę.

— Ona nie była pijaną — odparł Ignacy. — Powiedziała głośno to, co drudzy po cichu myśleli; jest to tylko z jej strony większa śmiałość. Dla czegoż mamy pozwalać na takie obelgi? Ojciec jesteś zbyt uległy. Tylko się im nie

dać! Pokazać, że i my mamy poczucie własnej godności. Solą w oku im jesteśmy! Wszystkim! Panom i chłopom! Ale co tam! Nie chcą oni uznać w nas zarówno sobie siły inteligentnej, stworzymy świat własny.

Hersch z pochyloną na piersi głową, milcząc, dał mu skończyć; teraz podniósł swe szare źrenice na syna, utkwiał wzrok przez chwilę w jego twarzy, a potem do córki się zwrócił:

— A ty nic nie powiesz? — spytał — a wy chłopcy?

— Ignacy ma słuszość — odpowiedzieli ci ostatni — mało to nasłuchamy się przezwisk w szkole? Fałszywe żydy! Tak na nas wołają!

— A ty Malciu?

— Dla czego pytasz ojciec?

— Dziwi cię to — uśmiechnął się Hersch. — Nie jesteście przyzwyczajeni, bym pytał kiedy o to, o czym wy myślicie. Teraz jednak ciekawym jest. Sądziłem, że nas „goje“ dla tego nienawidzą, żeśmy handlarze i nie chcemy pracować ciężko, ani uczyć się ich nauk. Więc i wy tak samo wstrętni im jesteście, jak ten chusyta, który ślęczy nad talmudem?

— Gorzej ojciec! Tamtym tylko pogardzają, mnie i równych mi, nienawidzą!

— Nie może być! — zawołał Hersch.

— Ignacy przesadza, ojciec — ozwała się Malcia.

— Ach, ty marzysz jeszcze o asymilacji — szyderczo odparł brat.

— Daj spokój Ignacy — rzekła siostra. — Bezstronnie sądząc, musisz przyznać, że antysemityzm, jak go nazywasz, podsycają sami żydzi swoim postępowaniem. Obraza osobista wpływa na twój sąd o tak ważnej kwestyi i jakże tu mówić o zbliżeniu? Widzisz, taki wieśniak, ten, co to z nimi dziś przyszedł, ojciec nazywał go Olechem, że już skorzystał z oświaty, jaki ludzki, łagodny w obcowaniu! Jeżeli dzieje się nam żydom krzywda taka, o jakiej ty mówisz, to kto wie, czy nie jest to odpokutowaniem za winy innych, którzy dali się im we znaki.

Hersch wpatrzony w córkę, słuchał uważnie. Gdy umilkła, pokiwał głową kilka razy, jakby jej słuszność przyznawał, a po chwili przemówił:

— Tak! Oni nie są źli. Oni tylko muszą się teraz bronić, bo widzą, że to źle nie patrzeć swego. Widzicie, choć ja tu straciłem, mogę powiedzieć tysiąc guldenów, boli mnie to, bo boli, a przecież teraz mi jakoś przyjemniej w duszy, że oddali zadatki i zostaną na swoim gruncie. Chciałem prawda, zarobić, ale lepiej, że się tak stało. Oniby mnie przeklęli, gdybym ich był oszukał. Nie należy im odbierać tego, co dla nich świętem jest. Takie krzywdy karze Bóg. Myślałem nad tem bardzo wiele. Tak, tak — dodał po chwili. — Chybił interes, ale za to mam czyste sumnienie.

KONIEC.

Niepoprawny.

Wielkopolankom poświęcam.

Powoli, melodyjnie, jeden po drugim, wydzwaniały zegary miejskie godzinę południową.

W małym, gustownie urządzonym, mieszkaniu państwa Z. panował o tej porze spokój niczem nie zakłócony. W kuchni krzątała się służąca, z uwagą bacząc na to, aby najlżejszego nie wydały dźwięku garnki i talerze, z którymi miała do czynienia. W pokoju takie same staranie miała pani Z. Stąpała cicho po dywanie, kiedy podchodząc do klatki, w której był kanarek, zarzuciła nań ciemną chustkę, aby umilkł natrętny śpiewak. Kanarek raz i drugi zatrzepotał skrzydełkami o druciki klatki i umilkł śpiew; pani Z. wróciła na swe miejsce przy oknie, podjęła porzucone krosienka i zabrała się do wyszywania zielonych listków na kanwie.

— Jak długo on śpi — szepnęła, podnosząc wzrok od roboty i na zegar spoglądając.

Drobna jej twarzyczka o dziecięcym jeszcze wyrazie, nosiła „na sobie“ piętno zniecierpliwienia i tajemną jakąś troskę. Znać po niej było, że ta troska jest dokuczliwą i na jej drobną, wątłą postać spadł ciężar zbyt wielki. Pochyliła główkę i dumać zaczęła.

Smutne musiały być myśli młodziutkiej mężatki, bo drobne jej usteczka drżały od wstrzymywanych łez, a ręce składały się mimowoli do rozpaczliwego ruchu.

Nagle, jakby sobie coś przypomniała, zerwała się z miejsca, pobiegła na palcach do biurka, otworzyła szufladę i rozrzucając znajdujące się tamże papiery, wydostała list większego formatu. Nerwowo ściskając w dłoniach papier, odczytywała treść pisma gorączkowo, zupełnie tak, jak gdyby w niem czegoś szukała, albo upewnić się potrzebowała, czy zgadza się z tem, o czem myślała, o liście tym wspomniawszy.

— Zbawienne rady — szepnęła mnąc w rękę pismo. Czy ja się do nich nie stósuję? Gdyby ojciec przyjechał do nas, poznałby, że Teoś jest niepoprawny, uparty, nieznosny i... nie kocha mnie wcale.

To ostatnie oskarżenie odebrało jej resztę spokoju, rzuciła list do szuflady i tłumionym zaniosła się płaczem.

W tejże chwili otworzyły się drzwi, prowadzące do sypialni i wszedł pan Z. Był to mężczyzna, liczący co najwyżej lat trzydzieści. Blondyn, średniego wzrostu, wyglądał delikatnie, elegancko, w ruchach jego było coś miękkiego, kobiecego; w niebieskich jego oczach, sinemi obwódkami okrażonych, malowały się bystra inteligencya i trochę znużenia.

Wchodząc, na widok zapłakanej żony stanął w progu i zawołał:

— Znowu łzy! Czy ci nie żal twoich pięknych oczu?

Zostawił drzwi do sypialni uchylone, przeszedł wzdłuż pokoju i stanął przed drżącą kobietą.

— No, no, dziecko drogie — mówił delikatnie, podnosząc jej główkę — nie gniewaj się, że znowu tak późno do domu wróciłem. Zebranie trwało do dwunastej, a potem poszliśmy do „Centralki“ na kolację.

— I graliście — szepnęła kobieta.

— Wierź mi, że wymawiałem się od gry, jak mogłem; zahukali mnie, wciągnęli i... musiałem grać. Ale wygrałem dziewiętnaście marek — dodał z filuternym uśmiechem. Za

kolacją zapłaciłem marek dwanaście, zostało mi siedem. Gniewasz się jeszcze? — spytał w rękę ją całując.

Kobieta składała już usta do uśmiechu, ale rzuciwszy okiem na odemkniętą szufladę i na list, który przed chwilą tam rzuciła, uczyniła główką ruch energiczny, jakby powiedzieć chciała: „nie, nie będę słabą. Tatko ma słuszność, jestem słabą i Teoś rozbraja jednym słówkiem gniew mój bardzo słuszny. Ale nie, dzisiaj właśnie powiem... będę miała odwagę powiedzieć mu, że źle czyni, że, że...”

W dalszym ciągu tych myśli wyrwała rękę z dłoni męża i podeszła do okna.

Zdziwiony, pogonił za nią wzrokiem, a oczy jego, cała nawet postawa, zdawały się wyrażać pytanie: „A to co? bunt??”

— Teosiu, muszę ci to dzisiaj powiedzieć, choć mi to przykro... bardzo przykro... ale muszę — drżącym głosem wypowiadała kobieta. — Łudziłeś mnie, że to co czynisz jest ofiarą, na ołtarzu narodowych potrzeb składaną, ale to... to jest...”

Chciała powiedzieć „fałsz,” zakrztusiła się, poczem mówiła:

— To jest źle pojęty obowiązek. Po co grzeszyć w imieniu tego, co święte?... Co zdziałaliście w ostatnich miesiącach? W Towarzystwie jesteście godzinę, a w Centralce spędzacie noc całą, grając w karty? Czy takie wypełnianie obywatelskich obowiązków przyczyni się do naszego odrodzenia? Czy w ten sposób rozbudza się ducha narodowego? Ach, nie o takich marzyłam ja drogach, przyjeżdżając z tobą tu na kresy.....

Umilkła, a on, nie przestając podkrecać wąsa, rzucił pytanie:

— Czy mam ci pomóc w nauczaniu tych smarkaczy, którzy tu przychodzą, małego i większego abecadła?

— Nie — odparła z energią. — To jest praca dla mnie... dla nas kobiet. Macie wasze Towarzystwo i... inne

drogi... choć te same cele... Pracujcie w duchu jego założenia, a nie marnujcie zdrowia, czasu i pieniędzy na grę w karty.

— Mówisz, jak dzieciak — zawołał mężczyzna — sama rozważ, czy mogę się wykluczyć z ich grona i jeden z młodszych, kreślić plany starszym i doświadczeńszym odemnie członkom? Gdybym przestał grać, posądzonoby mnie o sknerstwo... lub goliznę...

— Co za ambicya! — zaśmiała się nerwowo kobieta.

Popatrzył się na nią i zmarszczył brwi.

— Jesteś dzisiaj rozdrażnioną, Henrysiu — rzekł, starając się mowie nadać dźwięki łagodne. — Nie sądź, że wyprowadziwszy mi „scenę,” odwiedzisz od tej fałszywej, jak powiadasz, drogi. Jesteś niedoświadczoną, kochanko, i dla tego ci się zdaje, że należę do niepoprawnych. To samo, co ja, robi doktor S., to samo mecenas N. i tylu innych. To, że po zebraniu w Towarzystwie idziemy do „Centralki,” jest koniecznem. Schodzą się tam różne obozy i tylko w ten sposób możnemy być o wszystkim, co wiedzieć chcemy, poinformowani, i wiedzieć co w danym razie uczynić by wypadało.

Kobieta nie odpowiedziała; drobną rączkę podniosła do czoła i potarła je kilka razy, jak gdyby powiedzieć chciała „już nic nie wiem... czy znajdę jaką zbawienną myśl, aby go przekonać?...“

Nastąpiła chwila milczenia.

— Napiłbyś się teraz herbaty — przemówił wreszcie mężczyzna. — Za godzinę chciałbym zjeść obiad, bo muszę pójść do radczyni, aby pozwoliła wystąpić córce w amatorskim teatrze. Mecenasowa N. zwróciła mi rolę i nie wiem co z tym fantem zrobić.

I teraz nie odpowiedziała; zadzwoniła i wchodzącej służącej rzuciła rozkaz:

— Podaj panu herbatę; za godzinę ma być obiad podany do stołu.

Służąca wróciła do kuchni.

— Ano... pozostaje mi więc jeszcze godzina — przemówił.

mówił mężczyzna, ziewając. — Zachciało się mojej pani „zrobić mi dzisiaj scenę“. Zepsułaś mi humor na cały dzień.

Usiadł na kanapie i ziewnął jeszcze rozpaczliwiej.

Kobieta zajęła poprzednie miejsce przy oknie i wzięła do rąk krosienka, machinalnie przebierając igłą po kanwie.

Służąca wniosła herbatę i wyszła. Przez chwilę słychać było w pokoju dźwięk porcelany i mieszanie łyżeczką napoju w filiżance, poczem przemówił mężczyzna:

— Ach, jakaś ty niezdolna dzisiaj — rzekł, popijając herbatę i na żonę patrząc. — Zepsułaś mi humor. Jak ja w takim pozostając usposobieniu, potrafię mówić z radczynią!

A gdy milczała uparcie, dodał:

— Czy będziemy się gniewali?

— Wiesz, że to uważam za coś bardzo śmiesznego i nie miałeś jeszcze sposobności doświadczyć tego u mnie — odparła, wzroku od roboty nie podnosząc.

Gdy wypił herbatę, powstał i przeszedł się wzdłuż pokoju. Przechodząc koło biurka, przed odemkniętą przystanął szufladą i delikatnie, dwoma palcami ujął za leżący na wierzchu list.

Pismo od papy — rzekł głośno. — Czy można? Wszak pisuje zawsze: „kochane moje dzieci“, a więc i do mnie...

Zanim rozłożył list, kobieta stanęła przed nim, wyrwała mu pismo i schowała je do kieszeni.

— Jest to list, pisany wyłącznie do mnie — rzekła drżącym głosem — i.. nie powinienes go czytać.

— A!.. rozumiem! — rzekł cierpko mężczyzna. — Naskarżyłaś na mnie przed ojcem, i...

— Teoś! — zawołała kobieta.

— Już wiem, com wiedzieć powinien — mówił dalej mężczyzna, na wykrzyknik żony nie zważając. — To więc jest miłość i uległość żony...

Usta kobiety zadrżały, uczyniła taki ruch, jakby objąć go chciała i powiedzieć: „o ja cię kocham, bardzo kocham“. Nie wiadomo jednak, co wstrzymało ją od wykonania tego pragnienia serca; spuściła oczy i szepnęła:

— O mojej miłości i wierności wątpić nie powinienes nigdy. Przed ojcem na ciebie nie skarzę i jeśli nie pokazuję listu, to...

— Nie potrzebujesz się usprawiedliwiać — przerwał cierpko. — Czy jest obiad? — dodał po chwili. — Wiesz, że muszę odejść.

— Obiad będzie za godzinę, jak rozporządziłeś — odparła cicho.

— Nie będę czekał, bo nie mam czasu — rzekł mężczyzna. — Muszę iść. Zjem obiad w hotelu angielskim.

Poszedł do sypialni, a za kwadrans wyszedł ztamtąd ubrany do wyjścia. Zbliżył się do żony i rzekł, w rękę ją całując:

— Wychodzę. Jesteśmy oboje rozgoryczeni; do wieczora poprawi się nam obojgu humor. Do widzenia zatem.

Jeszcze raz poniósł jej rączkę do ust i wyszedł.

Gdy drzwi zamknęły się za nim, kobieta rzuciła krosienka, pobiegła do kanapy i tuląc główkę do poduszki, rzewnie, jak dziecko, płakać zaczęła.....

O godzinie trzeciej przyszły dzieci na lekcję. Było ich troje: chłopczyk dziesięcioletni i starsze od niego dziewczynki. Każde z nich pochodziło z innej rodziny. Skromne i grzeczne było ich ułożenie; wchodząc do pokoju, stąpały cicho i każde, u progu powiedziawszy: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, przystępowało kolejno do pani Z. i pocałowało ją w rękę. Młoda kobieta każde z nich pogłaskała po twarzy, wypytała o powodzenie rodziców, poczem dzieci przysunęły na środek pokoju składany stolik, rozłożyły go, przysunęły sobie stołki i wyjęły z torby książki i zeszyty.

Rozpoczęła się lekcya.

Z cierpliwością, godną uwielbienia i podziwu, kobieta słuchała i nauczała te biedne dzieci, które krom podzięki, nic więcej ofiarować jej nie mogły. Mimo moralnego cierpienia nie uchyliła się i dzisiaj od obowiązku, który dobrowolnie podjęła w imię najświętszych haseł. Nie wiedząc może o tem,

była Westalką rozdmuchującą iskrę... czuwającą, aby Znicz święty nie gasł, lecz płonął jasno....

Nieraz po lekcyi, zostawiała je u siebie, aby im opowiadać piękne historyjki, lub słuchać opowiadania tych małych, żyjących wśród wyjątkowych stosunków, gdzie umysł przedwcześnie dojrzewa i poważniej patrzeć się uczy na wszystko...

— Ach... — mówił dziś właśnie chłopczyk — pani miała Recht...

Przerwała mu pani Z.

Ależ Jasiu, jak ty kaleczysz naszą piękną mowę! Ileż razy ci mówiłam, że się nie mówi: pani ma „Recht“, lecz: pani ma słuszość...

Chłopczyk poprawił zdanie i mówił dalej:

Moja mama nauczyła już tatę czytać po polsku i już nie prenumerujemy żadnego blatu, ale polską gazetę. Mama powiedziała, że pani jest aniołem i dobrze prorokowała, że tak będzie, jak się „rychtyg“ stało.

Pani Z. pogłaskała chłopczyka po główce, lecz słowa nie rzekła. Coś dławiło ją w gardle; słuchając słów chłopczyka wspomniała o tem, jak bez wpływu pozostały jej słowa w obec męża, którego także nawrócić chciała.

— O ileż szczęśliwszą — pomyślała w duszy — jest ta biedna szewcowa, która potrafi tak wpłynąć na męża, że zerwał z przeszłością, by zbliżyć się mową i myślami do narodu, z którego żona pochodzi... Prawda — dumiała znowu — ona pracowała nad tem od lat wielu. Ach, gdybym tylko wiedziała, że Teoś nie należy do niepoprawnych. On jest przecież patriotą i gorąco kocha swój naród; ma tylko dziwny sposób dokuczania mi....

Roztargniona pożegnała dzieci i ubrała się z pośpiechem, choć starannie i z pewnym namysłem.

Chciała być ładną i wesołą, gdy mąż nadejdzie, i zapewne dla rozpedzenia nudów, siadła do fortepianu. Wybrała fantazyą dziką i wesołą, jak taniec cyganów.

Nie skończyła jeszcze, gdy wszedł mąż.

W noc styczniową.

Gwiazdzista, mroźna noc styczniowa zstąpiła na ziemię, lodowata, skrzepła, bez litości i pociechy dla nędzarzy. Nocy tej nie kleli tylko ci, którzy nie odczuwali jej grozy, i syci, a ogrzani, podziwiali majestat wszechkrólowej, przystrojonej w dyamenty i złoto, poważnej, cichej...

Wśród bieli, utkanej skrami złotymi, obłany światłem księżyca, sunął przez Rybaki człowiek samotny. Głowę owijał mu szal gruby, ręce trzymał w kieszeniach kapoty i posuwał się naprzód powoli, bo nogi tkwiły w filcowych butach. Zabezpieczył się zatem przeciw potędze mrozu jak mógł najlepiej. Lecz nie wystarczało to staremu, bo drżał febrycznie. Starł się iść śpieszniej, aby rozgrzać krew stygnącą. Po każdym kroku, zniknął wkrótce w bramie ładnego domku wesołego.

Wszedł tu młody malarz N. i nocy tej szydząc, za siebie trzech kolegów, iluminował mieszkanie, kachlami aż do pęknięcia kachli i postawił na stole gołego grogu.

Młodych wybuchały aż na gościniec, a człowiek wszedł samotny, cichy i pokorny, prz...

— Tak, to lubię! — zawołał od progu. — Jesteś wesołą, to mnie cieszy. Widocznie dobrze zrobiłem, wychodząc w południe. Humor powrócił, co? — zapytał, stojąc przy niej i całując ją w rękę, potem w usta. — No, kochanko, zagraj to jeszcze raz, a z werwą!

Zdjął palto i usiadł przy niej na drugim taburecie, mówiąc pieszczotliwie:

— Daleko ci ładniej z tą minką i błyszczącymi oczami. Gdybyście kobiety chciały pamiętać o tem, że największą wazną bronią jest wesoły humor, pogodna twarzyczka, trochę nawet zalotności, nie nudziłybyście męża skargami i łzami, które mogą zniechęcić go i znudzić. Wesołą bądź, a będę cię kochał.

W odpowiedzi na życzenie męża, z pod palców kobiety wybiegła szalona, fantastyczna pieśń; grała z schyloną główką i mężczyzna nie widział łez w pięknych oczach kobiety...

KONIEC.

drzwiami przystanął i namyślał się, czy godzi mu się przerwać zabawę.

Lecz ów popęd, który go wygnał z domu w tę noc okrutną, był silniejszy od obawy, ogarniającej go w obec wesołej wrzawy, dolatującej z pokoju. Nacisnąwszy klamkę, otworzył drzwi i znalazł się naprzeciwko czwórki rozbawionych młodzieńców.

Na widok niespodziewanego gościa, młodzieńcy umilkli i zdziwieni zdawali się czekać na wyjaśnienie.

— Przepraszam — wyrzekł gość — widzę, że nie w porę przyszedł. Dobry wieczór panom wszystkim życzę.

— Znasz go? — zwrócił się jeden z młodzieńców z zapytaniem do gospodarza.

— Jest to zegarmistrz Robak, mieszkający ztąd o jakie dwieście kroków — odparł gospodarz cicho, widocznie zażenowany niespodziewanemi odwiedzinami.

— Wiemy już! To ojciec tej małej, którą malowałeś z profilu! — zawołał najmłodszy z kolegów.

— Proszę bliżej, panie Robak! — rzekł gospodarz; podnosząc się z miejsca, i do gościa się zbliżywszy, spytał cicho: Masz pan do mnie jaki interes:

— Tak, panie! — odparł zegarmistrz. — Gdyby ci panowie poszli do drugiego pokoju, a my sami zostali, w krótkości sprawiłbym...

Malarz nie dał mu dokończyć; poszedł do stołu, przy którym siedzieli koledzy, coś im powiedział, a ci znów, chichocząc i chrząkając opuścili swoje miejsca i przeszli do drugiego pokoju. Gospodarz przywarł za nimi drzwi i zwrócił się do zegarmistrza.

— Słucham pana, panie Robak — odrzekł; przysunął gościowi stołek i oparł rękę na krawędzi stołu, przy którym stanął.

— Przyszedłem prosić pana, — mówił Robak — bo moja córka....

Stary zakrztusił się — słowa więzły mu w gardle.

— Czy jej gorzej? — spytał malarz.

Na chwilę zapanowała w pokoju taka cisza, że słyszeć było wyraźnie dolatujący tu z za drzwi tłumiony śmiech młodzieńców i szepty ich wesołe.

— Żal mi grogu! — słyszać było głos jednego.

A drugi znów wołał:

— Czy ten stary przyszedł po zapłatę za

— Żadna awantura — mówił trzeci.

— Fatalny epilog — rzekł znów pierwszy.

Głosów tych nie słyszał stary zegarmistrz; na jego twarzy nie poruszył się żaden muskuł; oczy miał utkwione w podłogę, a twarz jakby zmartwiałą i skrzepłą.

I malarz miał w tej chwili oczy spuszczone; głosy kolegów wywołały na jego twarzy krwawe płomienie; brwi ściągnęły się surowo.

— Panie Robak — szepnął stłumionym głosem i spojrzał na swego gościa.

Stary drgnął i podniósł na niego wzrok taką bezradną boleścią nabrzmiałą, że malarz odwrócił twarz, przyczem zupełnie przypadkowo oczy jego zatrzymały się na niewielkim obrazie olejnym. Ponieważ pokój był rzęsiście oświetlony, wyraźnie widzieć można było najmniejsze nawet cieniowanie kolorów. Obraz przedstawiał portret młodego dziewczęcia, zwróconego do widza profilem. W kompozycji uderzały przede wszystkim staranne wykończenie, koloryt i wdzięk postaci dziewczęcej. Przypatrzywszy się wyraźniej, spostrzegało się dziwny kontrast, jaki stanowiła górna część twarzy dziewczęcia z częścią twarzy dolną. Oko i czoło miała kobiety obeznanej z cierpieniami życia; usta zaś i brodę, jak u dziecka filuterne. Była ubrana w kostyum wiejski, krakowski i krwawo odznaczał się czerwony gorset od śnieżnobiałej koszuli.

Kiedy wzrok malarza zatrzymał się na portrecie, Robak spojrzał także w tamtą stronę i nagle, jakby go coś poderwało z miejsca; stanął, ręce wyciągnął do obrazu potem je ku własnej twarzy zwrócił, zasłonił oczy dłońmi, a z szerokiej jego piersi wybuchło coś jakby łkanie.

— Panie Robak — cicho powtórzył malarz i stanął przed

starcem — uspokój się pan i powiedz w czym wam pomódz mogę?

Stary odjął dłonie od twarzy i spojrzał na malarza. W oczach jego malowała się rozpacz, usta wykrzywiał śmiech szyderski, co to żwioduje w sercu i wybucha dźwiękiem podobnym do zgrzytu, jaki wydaje zardzewiały klucz, obracany w zardzewiałym zamku.

— To ona! — zawołał ochryłym głosem i palcem wskazał na portret dziewczyny w krakowskim ubraniu. — Taką mi wzięłeś! Oddaj mi ją taką, jaką była! Oddaj! Ha — wołał, rozglądając się dokoła ścian, przystrojonych w rysunki, portrety i akwarele. Czy tym wszystkim zabrałeś duszę i tchnąłeś ją w te obrazy, by wyglądały, jak żywe?! Oddaj mi duszę dziecka! Oddaj!

— Rozpacz z pana przemawia — szepnął malarz. Jestem niewinny.

Stary spojrzał na niego przytomniej.

— Niewinny? powtórzył. A kto winien?

— Fatalizm to, odparł malarz. Jak mi mówił lekarz Z., którego do pańskiej córki posłałem, chorobę umysłową, зда-je się, odziedziczyła po stryju, a bracie pańskim, panie Robak, który umarł w szpitalu waryatów.

Stary uczynił głową ruch rozpaczliwy i zasłonił oczy.

Ona była zdrowa, jak rybka w rzece, szepnął. Dopiero, kiedy mnie coś skusiło, żem pozwolił na to, aby ją pan malował, zaczęła mi się w oczach mienić, powoli, powoli. Dziś rok, jak w ciepłej naszej stancyi siedziałeś pan u nas i rysowałeś na papierze jej portret...

Malarz poruszył się niecierpliwie.

— Byłeś pan zawsze z nami razem, rzekł. Widziałeś pan, że jej nie bałamucilem.

— Ale ona się w Panu zakochała, szepnął Robak.

Malarz ścisnął ramionami; ruch ten mógł oznaczać: a co ja za to mogę?

— A i ludzie wzięli dziewczynę na języki i szarpali jej

cnotę, mówił stary drżącym głosem. O mój Boże! zawołał, nagle głos zmieniając. Za cóżeś mnie skarał tak srodo!

W drugim pokoju powstał głośny chichot i słyszeć było wołanie:

— Brawo!

Stary zatrząsł się i zacisnął pięści.

— Aaa... szepnął, groźnie na drzwi spoglądając. Smarkacze... drwią z boleści mojej!... Bodaj wam to Bóg pamiętał!

— Wybacz pan, mają oni już trochę w czubku, rzekł malarz cicho.

Stary oparł dłoń na stolku i stał tak chwilę milcząc; wreszcie podniósł wzrok na malarza i rzekł:

— Przyszedłem tu dzisiaj z wielką prośbą. Lekarz Z. jest przyjacielem pana. Wstaw się pan u niego za mną; niech mi dziecka do szpitala nie biorą. Sąsiedzi straszą mnie policyą, ale wszak ona spokojną i tylko gdy mnie w domu nie ma, a kto ją podrażni, wtedy...

Nie dokończył stary i znowu umilkł.

— Pomówię o tem z lekarzem, odparł malarz.

Robak chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nim usta otworzył, stanął w progu jeden z wesołych młodzieńców i zawołał:

— Boleś, albo każ odejść staremu, albo ci szyby wytłuczemy i uciekniemy oknem. Wesoły z ciebie koleżka i gościnny gospodarz!...

Robak sięgnął po czapkę, dotknął się szalu i szeptaając: „dobranoc,“ zbliżał się do drzwi. Od progu odwrócił się, spojrzał na malarza i rzekł błagalnym szeptem.

— Pamiętaj pan.

Wyszedł, a za nim pogonił wesoły, szydący śmiech młodzieńców. Stary dworcił się ku oświetlonym oknom, spojrzał i pogroził im pięścią.

— Bodaj was Bóg skarał, hulajdusze bez serca! dodał.

Podniósł wyżej szal, owinał nim szyję i dolną część twarzy, czapkę na uszy nacisnął, ręce włożył w kieszenie ka-

poty i zaczął posuwać się naprzód po zamrzłym śniegu, nie zważając na nie wokoło.

Tak idąc omijał piękne wile, domy i domki rybaków, i wszedł wreszcie do niskiej swej chaty. Jedną jej połowę sam z córką zamieszkiwał, drugą wynajął woźnemu z sądu, który się niedawno ożenił i tu zamieszkał.

Przed progiem własnego mieszkania stary przystanął, jak to uczynił przed godziną u drzwi malarza i nasłuchiwał. Ale z wnętrza żaden głos się nie przedzierał; wokoło panowała cisza uśpienia. Otworzył drzwi.

Pokoik, do którego wszedł teraz stary zegarmistrz, był niski, w sprzęty niebogaty, ponury i smutny. Przed oknem stał warsztat, na ścianie przeciwległej oknu, wisiało kilka starych zegarów, w kącie stał tapczan, przy piecu ława, a ku środkowi stancyi wsunięty stół i trzy stolki. Lampa świeciła się na stole przykręconym knotem i kopcila. Wchodząc do stancyi. Robak najpierw knot u lampy wykręcił w górę, potem rozejrzał się wokoło. Na stolku przy stole siedziała sąsiadka uproszona do pilnowania dziewczyny pod nieobecność ojca. Zdrzemnęła się widocznie, bo gdy Robak lampę poprawił, spojrzała wokoło siebie. Stary ją powitał i poszedł do pieca, przed którym leżała na ławie młoda dziewczyna i z szeroko rozwartemi żrenicami na pułap spozierała.

Była to Teklusia, córka Robaka.

Sąsiadka powiedziawszy „dobranoc,“ wyszła; Robak odprowadził ją do sieni, potem do stancyi wrócił, drzwi przywarł i do córki się zbliżył.

— Tekluś, szepnął, dotykając jej ramienia.

Zerwała się na równe nogi.

— Czego chcesz? przemówiła ochryplym głosem. Ja niewinna. On tylko mówił, że z profilu. Co ludzie na mnie wygadują? On się ze mną ożeni. Kupisz mi białą suknię na ślub. Wianuszek mirtowy kupię sama...

Starym wstrząsnął dreszcz śmiertelny; popatrzył na nią smutnie i szepnął:

— Dzisiaj jej gorzej.

Obląkana spojrzała na niego z nieufnym błyskiem w oczach.

— Nie pozwolisz? zapytała. Czemu nie pozwolisz? Musisz pozwolić, bo my się kochamy.

— Pozwolę, przez łzy wykrztusił stary i ujął dziewczynę za rękę. Chodź spać, rzekł łagodnie.

— Nie pójdę! zawołała obląkana. Wy mnie chcecie zamknąć, żeby on się ze mną nie ożenił. Ja nie chcę! Czego się na mnie patrzysz?... Widzisz?... Tu pod stołem jest ktoś. Czarny pies. To dusza czarownicy. Patrz, patrz! Widzisz?... Ja się boję! Chodź ztąd! Uciekajmy! Ja się boję!... Ja się boję!...

Uczepiła się szyi ojca, wołając:

— Patrz, patrz! Jest ich więcej! Jeden, dwa, sześć, sto! Cała izba się kręci! Czego chcecie?! krzyknęła. Ja się boję! Uciekajmy! Ja się boję!

Uchwyciła ramię ojca, ciągnąc go ku drzwiom. Była w tej chwili tak silną, że pchnęła drzwi jedną nogą, aż uderzyły o ścianę sieni. Ciągnąc ojca za sobą, wybiegła przed chatę. Tu zostawiła starego i zaczęła biec w stronę rzeki.

Na prawo od chaty Robaka, wila się objęta z dwu stron w wały śniegowe twarda opoka lodowa Wisły, gdzieniegdzie tylko cieniowana świeżą wyrąbką.

Cisza spowiła ten zakątek ziemi i tylko woda huczała pod lodem. Księżyc spoglądał na ziemię poważny, surowy, gwiazdy świeciły zimnym, fałszywym blaskiem, jak fałszywe wemi i złudnemi były dyamenty i złoto błyszczące na śniegu.

Obląkana zbiegła wprost do rzeki i stanęła w miejscu, gdzie przeświecała woda, w której odbijał się księżyc. Chwilę patrzała na światło odbite we wodzie, potem klasnęła w dłonie i rzuciła się naprzód. Woda rozbałtaniła się, suknie dziewczyny odwinęły się, potem spuściły, wreszcie wszystko, znikło.

Gdy Robak przybył na miejsce, woda marszczyła się jeszcze. Stary namyslał się chwilę; jakaś nieprzeparta siła pchała go ku wodzie. Gdy tu biegł, chciał wołać ratunku

lecz słowo uwięzło mu w gardle. Teraz chciałby ratować sam, ale jak? Nie umiał pływać. Obląkanym wzrokiem spoz-
rzał dokoła, wstrząsnął się w obec skrzeplej ciszy. Postąpił
bliżej, wyciągnął przed siebie ręce, podał się połową ciała
naprzód i — wskoczył za córką.

Woda jeszcze raz wydała odgłos ponury, uderzyła w gó-
rę kaskadą kropel; potem falowała, drżała, marszczyła się,
aż wreszcie uspokoiła, i księżyc znowu przeglądał się na jej
powierzchni; poważny, zmartwiał, okrutny świadek...

KONIEC.

W rezerwie.

Wracali z koncertu. Papa i mama zostali za nimi o kilkanaście kroków w tyle, a oni spiesźnie idąc, rozmawiali o Szopenie i Moniuszce, o księżycu, który właśnie był w kwadrze i fałszywą twarz zwracał ku nim i zdawał się uśmiechać z ich zachwyków i westchnień; stary wypalony cynik!...

— Jakie wyniosłam wrażenie? — pyta pan — mówiła panienka, otulając się puszystym boa i przytykając na chwilę nosek do mufki. Melodye dzwonią mi jeszcze w uszach, Muszę się uspokoić, aby mózż zesumować wrażenie dzisiejszego wieczoru.

— Wieczór ten pozostanie w mojej pamięci na wieki — mówił mężczyzna.

— Doprawdy? — zaśmiała się panienka. — Czemże się tak uwieczni?

— Szydzi pani, a więc nie powiem.

— Powiedz pan!

— Niechciałbym stać się śmiesznym w oczach pani.

— A więc nie powiesz pan?

Panienka zaczynała się dąsać i oglądała się za rodzicami.

— Panno Kaziu — szepnął mężczyzna — nie zmuszaj mnie pani do wypowiedzenia tego; są bowiem słowa, które raz wypowiedziane, zmieniają... nasze życie.

Panienka nie wiedziała, co odpowiedzieć na te zagadkowe słowa, których znaczenia pojąć nie mogła; milczała i... przytknęła nos do mufki.

— Czy będzie pani jutro na wieczorku w kasynie? — spytał znów mężczyzna.

— Będę — odpowiedziała panienka.

— Otrzymam pierwszego walca?

— Przyrzekłam go już inżynierowi Żurowskiemu.

— Rozumiem.

— Cóż pan zrozumiał?

— To, że go pani wyróżnia. Szczęśliwy człowiek ten inżynier! Ma dwanaście set guldenów rocznej pensyi i jak najlepsze szanse rychłego awansu. A ja...

— Pan masz także przyszłość przed sobą.

— W sądownictwie! Liche to! Co innego gdybym miał protekcyę!...

Panienka milczała — widocznie była dyplomatką.

— Nie pędźcie tak moi państwo — wołała za nimi matka w tej chwili. Ojciec chce się zapytać pana Szydłowskiego, czy uwolnią tych żydków z Rzeszowa.

Nastąpiła zmiana par. Panowie pozostali w tyle, rozmawiając o sprawie rzeszowskich żydków, a panie poszły naprzód i cicho z sobą szeptały.

— Cóż ci mówił? — spytała mama.

— Same głupstwa — odparła córka!

— Więc się nie spodziewasz?...

— Może później...

— Nie należy go jednak zbyt ośmielać. Sielsko zaatakować jego i zwrócić całą baterią na inżyniera.

— Ach... inżynier się nie ożeni — westchnęła panienka.

— Twierdzić tego na pewno nie możesz.

— On tak chwalił swoją kucharkę — westchnęła znów panienka. — Powiedziała mi dopiero wczoraj, że niczego nie pragnie więcej, tylko, aby go przeniesiono na prowincyę, gdzieby mógł zagospodarować się wygodnie i mieć własne

krowy. Zachwala mu takie gospodarstwo jego kucharka i on o tem tylko marzy.

— O ślicznych rzeczach rozmawiacie! — oburzyła się matka.

Panienka chrząknęła znacząco.

— Okropne czasy — westchnęła matka. — Taki, który jest na stanowisku, nie chce się żenić i trzyma sobie kucharkę. A lada hołysz chciałby żony, posagu i protekcyi. Koniec świata! Całe szczęście, że jesteś jedynaczką. Ach, ten inżynier!... Nie mogę mu przebaczyć, że chce zostać starym kawalerem. A cóż, Szydłowski? — dodała po chwili.

— Szuka protekcyi, no i trochę pieniędzy — odparła panienka.

— Trochę groszy znajdzie się u nas — mówiła mama. — A zięć radzcy może się czegoś spodziewać przy sądzie. A zatem Szydłowskiego trzymaj w rezerwie...

Panowie musieli „wyczerpać“ zajmujący temat o rzeszowskich żydkach, bo zbliżyli się do pań; rozmowa stała się ogólną i straciła na... znaczeniu.

Przed mieszkaniem państwa radzców przystanęli. Szydłowski cmoknął mamę w pulchną rękę, pannie uściśnął paluszki, panu radzcy dłoń podał, uklonił się według reguły *savoir vivre*'u i poszedł.

— Żeby mnie choć byli na kolację zaprosili — dumął po drodze. — Skąpi ludzie. Muszą mieć pieniądze... Mama poluje na inżyniera. Ale ten nie ugryzie. Gdybym wiedział, że choć trochę pieniędzy dadzą i papa nie pójdzie tak rychło na emeryturę!... W każdym razie dobrze będzie trzymać ją w rezerwie. Posuwać się ostrożnie, nie zapędzać się zbyt i zostawić furtkę otwartą, bo może trafić się posażniejsza Djabelnem głodny... Nie zaprosili na kolację. Trzeba będzie się zadowolnić bułką i serem szwajcarskim Nie ma to, jak u żydów! U nich każdy mężczyzna dostaje ze żoną pieniądze i jawnie się o posag dopomina. A u nas, choć są pieniądze, to ci powiedzą, że

je otrzymasz po najdłuższem życiu mamy i papy. „Czekaj tatka do latka.“ Dziękuję za taką pociechę Ciekawym, ile radzca ma uciulanych pieniędzy? Mówią, że jest bardzo przystępny. . . Ha, kto wie, może panna Kazia jest wcale nie złą partyą. Ostatecznie, choćby pieniędzy nie dali, to zawsze coś kapnie i protekcya teścia radzcy sądu też coś warta. A zatem... punkum: pannę Kazię zatrzymamy sobie w rezerwie...

KONIEC.

krowy. Zachwała mu takie gospodarstwo jego kucharka i on o tem tylko marzy.

— O ślicznych rzeczach rozmawiacie! — oburzyła się matka.

Panienka chrząknęła znacząco.

— Okropne czasy — westchnęła matka. — Taki, który jest na stanowisku, nie chce się żenić i trzyma sobie kucharkę. A lada hołysz chciałby żony, posagu i protekcyi. Koniec świata! Całe szczęście, że jesteś jedynaczką. Ach, ten inżynier!... Nie mogę mu przebaczyć, że chce zostać starym kawalerem. A cóż, Szydłowski? — dodała po chwili.

— Szuka protekcyi, no i trochę pieniędzy — odparła panienka.

— Trochę groszy znajdzie się u nas — mówiła mama. — A zięć radzcy może się czegoś spodziewać przy sądzie. A zatem Szydłowskiego trzymaj w rezerwie...

Panowie musieli „wyczerpać“ zajmujący temat o rzeszowskich żydkach, bo zbliżyli się do pań; rozmowa stała się ogólną i straciła na... znaczeniu.

Przed mieszkaniem państwa radzców przystanęli. Szydłowski cmoknął mamę w pulchną rękę, pannie uściśnął paluszki, panu radzcy dłoń podał, uklonił się według reguły *savoir vivre*'u i poszedł.

— Żeby mnie choć byli na kolację zaprosili — dumal po drodze. — Skąpi ludzie. Muszą mieć pieniądze... Mama poluje na inżyniera. Ale ten nie ugryzie. Gdybym wiedział, że choć trochę pieniędzy dadzą i papa nie pójdzie tak rychło na emeryturę!... W każdym razie dobrze będzie trzymać ją w rezerwie. Posuwać się ostrożnie, nie zapędzać się zbyt i zostawić furtkę otwartą, bo może trafić się posażniejsza Djabelniem głodny... Nie zaprosili na kolację. Trzeba będzie się zadowolnić bułką i serem szwajcarskim Nie ma to, jak u żydów! U nich każdy mężczyzna dostaje ze żoną pieniądze i jawnie się o posag dopomina. A u nas, choć są pieniądze, to ci powiedzą, że

je otrzymasz po najdłuższem życiu mamy i papy. „Czekaj tatka do latka.“ Dziękuję za taką pociechę Ciekawym, ile radzca ma uciulanych pieniędzy? Mówią, że jest bardzo przystępny. . . Ha, kto wie, może panna Kazia jest wcale nie złą partyą. Ostatecznie, choćby pieniędzy nie dali, to zawsze coś kapnie i protekcyja teścia radzcy sądu też coś warta. A zatem... punktum: pannę Kazię zatrzymamy sobie w rezerwie...

KONIEC.

NERWY.

Wygodnie, z elegancją i poczuciem piękna był urządzone gabinet pana Milera — drzwi odchylone do dalszych pokoi, pozwalały widzieć dokładnie ich urządzenie i wnioskować o materyjalnej wartości lokatora. Spokój, jaki panował w około, wykluczał przypuszczenie, jakoby to było mieszkanie rodziny.

Na biurku płonąła lampa, przystrojona pasowym motylem; różowe światło rzucało prześliczne refleksa na twarz przechodzącego się po gabinecie Milera.

Mężczyzna to w średnim wieku, wysoki, zbudowany na urząd; twarz ma interesującą, choć w rysach brzydką. Cechuje zaś całą postać coś odrębnego, coś, czego się nie widzi u przeciętnych ludzi i dla tego może na siebie zwrócić uwagę.

Przechadzając się, zdaje się myśleć o czemś, co sprawia mu przesyt; wgląda bowiem w tej chwili na bardzo znudzonego bożka. Stanął wreszcie przy biurku, podjął leżącą tam kartę wizytową i treść bileciku przeczytał uważnie.

— Pójdę jednak — wyrzekł szeptem dość wyraźnym, zwolna zapalając cygaro.

Poszedł do drugiego pokoju i po chwili wrócił we futrze i czapce.

Wyszedł.

Wieczór był mroźny i księżycowy, pora dość wczesna; Miler szedł powoli, jak człowiek słaby, lub zamyślony. Miler chorowitym nie był, a więc musiał być zamyślonym. Myśli natrętne nie przeszkadzały mu jednak uklonić się znajomym, popatrzeć na wybitniejszy afisz, i przystanąć wreszcie przed pewną kamienicą.

Przez jasno oświetloną sień i schody wszedł na piętro i zadzwonił do pierwszych drzwi, odrzucając równocześnie niedopalone cygaro.

Klucz zaskrzypiał — drzwi się uchyliły i w półoświeceniu ukazała się twarz młodej kobiety.

— Wiedziałam, że to pan! — zawołała dźwięcznym głosem do składającego ukłon w milczeniu, i gość wstąpił za nią do pokoju.

Było to mieszkanie kobiety, która bez bogactwa, w skromnych nawet warunkach, potrafi urządzić się elegancko i zadowolnić gust najwybredniejszy.

Ona sama miała w swej postaci wiele dystynkcyi i ujmującego powabu. Regularne rysy drobnej twarzyczki, nos grecki, oko czarne, palące; kolor ciała ciemny, matowy, główka maleńka i kibić wysmukła, czyniły wygląd jej młodszym o lat kilka. Wyglądała na dwudziestoletnią pannę, a była wdową i zbliżała się do trzydziestki.

— Wiedziałam, że pan przyjdzie — powtórzyła, patrząc mu w oczy.

Usiedli przed okrągłym stolikiem; on na fotelu, ona na kozetce.

— Wezwwała mnie pani — odparł z półuśmiechem.

Oczy jej, utkwione w jego twarzy, prędko zmieniły swój wyraz.

— Teraz jednak żałuję, że trudziłam pana — odpowiedziała prędko, jakby zdanie to było dalszym ciągiem poprzedniego.

Nie umiała pani Irma panować nad sobą i nerwowa jej twarz zdradzała, równie jak słowa, że spotkało ją w tej chwili coś bardzo przykrego.

— Powinnam była list napisać i donieść panu o wszystkim — dodała po chwili. Zrobiła pauzę i dokończyła — wychodzę za mąż.

Ostatnie słowa wypowiedziała takim głosem, jakby dła-
wiły ją one, aż twarz pokraśniała.

— No... proszę... wychodzi więc pani za mąż? I kto ten szczęśliwy?

Wyglądał w tej chwili na życzliwego opiekuna, który słuchać pragnie zwierzeń pupilki.

— Nie dla tego jednak — odpowiedziała Irma ze złośliwym naciskiem — aby to panu oznajmić, trudziłam pana tutaj. Wyjeżdżam w tych dniach i chciałam pożegnać się osobiście.

Udało się jej. Widziała, jak zadrżał, jak chciał coś mówić, a nie mógł przyjść do słowa. Wzruszyła go narreszcie!

Lecz trwało to tylko chwilę, bo znowu był panem siebie.

— Poślę panu kartę ślubną.

Przy tych słowach ręka jej spoczęła w jego dłoni. Stała się dziwnie zamyśloną.

On, nieco nachylony ku niej, patrzył na nią wzrokiem, który możnaby nazwać wzrokiem miłości. Musiało to jednak być chwilowem złudzeniem, bo, puściwszy jej rękę, miał na twarzy zwykły swój wyraz myślącej powagi.

— Więc mi pani powiedzieć nie chce, kogo uszczęśliwiasz swą rączką? — zapytał.

— Mniejsza o jego nazwisko! — zawołała, dotykając się elektrycznego dzwonka, poczem spytała: Napijemy się herbaty, dobrze?

I zwracając się do niego z uśmiechem, zaczęła rozmowę

o nowościach ze świata sztuki i nauki, nawet o politykę zawadzili.

O polityce też rozprawiając, zakończyli rozmowę i pożegnali się. A kiedy oboje wymawiali konwenansowe słowa pożegnania, mieli na twarzy bardzo wybitną cechę rozczerwania. W dodatku on był znużony, ona rozmarzona. To pewna, że ciążyli sobie wzajem podczas rozmowy, która wypadła wcale inaczej, niż się tego spodziewali oboje.

Po odejściu Milera stała pani Irma długą chwilę przed stolikiem, wpatrując się w jakiś punkt niepewny.

— Byłam znowu niemądrą — zawołała drżąca. O, jak niemądrą!... Przepadło!...

Tego jeszcze wieczora napisała długi list do swej przyjaciółki, donosząc jej, że przyjmuje oświadczyzny Jerzego Celińskiego.

...,Musiałam i ja przejść tę chorobę miłosnych marzeń — pisała w tym liście między innemi. Jedno mnie tylko gniewa, a to, że nie wiem, czem właściwie byłam dla tego pana Milera. Kochanką ani przez minutę, przyjaciółką także nie; na pewno rzec bowiem mogę, że istotnych nie powierzałby mi tajemnic. Wszyscy mieli go za mojego konkurenta; myślący mniej prozaicznie, za przyjaciela. W końcu i ja uwierzyłam, że stara się o moją rękę, że mnie kocha. Chciałam bowiem tego koniecznie.

„Nie zachęcał mnie do mariażu z nim jego majątek; obojętnem mi było i jest, że usługune dewotki zapewniały mnie, że za jego kamienicę chcą mu dać pięćdziesiąt tysięcy, że kupuje wioskę. Ten człowiek magiczny wpływ wywiera na mnie. Kiedy znajduję się w jego towarzystwie, doznaję takiego uczucia, jakbym była jego medium. Gdyby zażądał, poszłabym z nim na koniec świata. Kiedy żegnając się ze mną, ścisnął moją rękę, miałam ochotę wesprzeć ją głową na jego ramieniu i powiedzieć mu: „Zostań! Z tobą mi tak dobrze....“

„Mimo tego wszystkiego przyjmuję oświadczyzny Celińskiego. Wychodzę za mąż ze złości, czy rozumiesz? Moja twarz musiała zdradzić, że go kocham, należy zatem naprawić błąd.“

„Napisałam dzisiaj do niego, by mnie odwiedził i wyobraż sobie, że był tak nieznośny, że musiałam mu powiedzieć, że wychodzę za mąż, że odjeżdżam, aby mieć tę satysfakcyę i widzieć go wzruszonym. Wiem teraz, że się tego nie spodziewał — wierzył więc, że go kocham. Niechajże wie, że tak nie jest. Pożegnaliśmy się spokojnie, jakbyśmy w kilka dni zobaczyć się mieli. Wrócę tu wkrótce jako pani Jerzowa, by przekonać się, czy on nadal wywierać na mnie będzie ten wpływ magiczny. Jutro pakuję moje rzeczy — za dwa dni jestem u ciebie.“

„Może jednak zbyt nagle postąpiłam sobie w tym wypadku? Działo się ze mną coś niezwykłego. Byłam wzburzoną, kiedy na moję podziękę, że przyszedł, odpowiedział z tym swoim olimpijskim spokojem: „Wezwała mnie pani.“ Myślałam, że gdy usłyszysz, iż wychodzę za mąż, zrobi mi wymówkę jaką, choćby niesłuszną. Ale nie.“

„Czemu ten człowiek nie żeni się? Czuje instynktowo, że kryje się z jakąś tajemnicą. A może i nie. Tajemnica ta jest najzwyklejszą historią starych kawalerów. Przywykają do wolnego życia — restauracyjnych potraw — knajpowych przyjemności i żeby zmienić tryb życia — na to trzeba by niezwykłą w nich obudzić namiętność.“

„Ja takiej namiętności wzbudzić w nim nie mogłam.“

„Może, gdybym była cierpliwszą! Nie chcę jednak w oczekiwaniu tego tracić resztki młodości. Wyjdę za mąż... niechaj żałuje, że nie jest na miejscu Jerzego.“

*

*

*

Miler nie wrócił wprost z wizyty u pani Irmy do domu. Jak był zwykł czynić, gdy pora nie była jeszcze zbyt późną

— i dzisiaj zaszedł do cukierni na koniaczka i gawędkę. Jak zwykle też, spotkał tam dobrego swego znajomego, Zarzeckiego. Gawędząc o tem i owem, od polityki przeszli do osobistych wiadomości.

— Czy to prawda, że się żenisz? — spytał Zarzecki Miler.

— Ja? Nic o tem nie wiem — odparł Miler.

— A niech ich z temi plotkami! ... — zaklął Zarzecki.

— Z kimże mnie żenią? Niechże wiem ... — odezwał się znów Miler.

— A z tą wdową ... z tą Irmą ... wiesz już! ...

— Ehm ... Ale jest w tem nieco prawdy, bo ona za mąż wychodzi.

— Za ciebie?

— O nie! Za ... czy ja zresztą wiem, za kogo? Wiem, a raczej wiem tylko tyle, co mi powiedziała, a mówiła mi, że wyjeżdża i wychodzi za mąż.

— Ano, to dobrze! Myślałem, żeś zgłupiał na starość, przepraszam Cię z całego serca. Kobiety, panie tego, bardzo miłe istotki, ale dużo, strasznie dużo kosztują. A co przytem hałasu w domu, jaki rwetes? Nie ma, jak kawalerskie życie. Ot, nie siedziałbyś ty tu, biedaku, lecz musiałbyś żonki pilnować, by ci jej tylko kto nie zbałamucił. Teraz kobiety zamiast duszy mają nerwy, nerwy, nic, tylko nerwy. A to niebezpieczne! Bardzo niebezpieczne!

Gdy Miler wrócił nareszcie do domu i wygodnie zasiadł w fotelu, paląc wonne cygaro, raz jeszcze myślą powrócił do ubiegłych godzin.

— Szkoda tej kobiety — powtarzał w duszy. — Zdawała mi się być nie tak pospolitą, jak te drugie. Lecz i ona ma tylko nerwy, nerwy i nerwy! Niebezpieczny byłby to materyał na moją żonę. Prawdę powiedział Zarzecki, że w tym wieku się żeniąc, popełnia człowiek kolosalne głupstwo. No... uniknąłem złego szczęśliwie...

KONIEC.

Nad Wisłą.

I.

Kilka łódek rybackich odbiło rażno od brzegu i popłynęło szybkim prądem Wisły — wioząc sieci i skrzynki na ryby — w workach zaś, trochę zapasów żywności. Zostawiały one za sobą chaty rybackie, sunąc dalej cicho, a w mgłę, która nad wodą unosić się poczyniała, wydawali się ci ludzie i łódki ich, jakby kalwakada tajemniczych zbiegów.

Ozwały się dzwony na Anioł-Pański, rybacy kornie uchylili czapek i żegnani echem dzwonów, płynęli dalej, szeptem odmawiając modlitwę.

Ucichło, nagle wszystkie spuszczone sieci.

Na ostatniej łódce stało dwóch młodych rybaków: elastyczne ich ruchy znamionowały krzepką młodość i nadzwyczajną zręczność. Byli to stryjeczni bracia: Antek i Józek Wdzychoccy.

Antek był brunetem o smagłej cerze — nadzwyczaj szlachetnych rysach twarzy i ognistych, czarnych oczach. Znać także po nim było, że musiał posiadać nieco lepsze wykształ-

cenie, niż je mieli inni w osadzie; nawet głos jego był dźwięczniejszy, niż u towarzyszy.

Józef nie był pięknym — zwykły blondyn o niebieskich oczach i zadartym nosie. Nie zwracał oczu niczem — chyba postacią i szczerym śmiechem, którym co chwila wybuchał.

Teraz, aby ryb nie wystraszyć, zniżał głos i nie śmiał się tak często, a nawet mało odpowiadał na zwierzenia stryjecznego.

— Jest uparty, będę i ja — cicho mówił Antek — niech siostrze zapisze wszystko; swego nie odstąpię! Poczeka rok, gdy zostanę pełnoletnim, nikogo o nic pytać nie będę. Łaski niech mi ojciec nie robi, bo żebym tylko chciał, a dwanaście reńskich zarobię na rybach przez tydzień, Co mi wtedy zrobi? Ożenię się z Zosią, bo ją kocham, a dziewczki, co tylko krowy doić umie, nie wezmę. Niech się ojciec z nią ożeni, pozwalam!...

— Nie płótlbyś — szepnął Józek, zgorszony ostatniemi słowy brata.

— To niech mi z tą dziewczką da spokój! Wstydu się najem przy takiej żonie.

— Co prawda, to nie grzech!

— A widzisz!... Ty kochasz się w Kasi, bo ona rybicka córka, ludową szkołę skończyła i wie jak kapelusz nosić na głowie, a nie ubiera się, żeby jak koczodon wyglądała.

— To ci ważne! — zaśmiał się Józek, aż go drugi strofować musiał — nie patrzałem ci na to, zalecając się do niej. Widziałeś jakie Kasia ma oczy? Jak niezabudki! A usta, to niby maliny, a słodsze, oj jej.

— Chamem cię czuć!

— Tyś wielki pan! Słuchaj, Antek, prawdę ci powiem, że ta twoja panna djabła warta. Pewno tam już z niejednym lokajem wpierv się kochała, nimeś ty ją poznał. A ty, żeś gładki chłopiec, to zęby szczerzy do ciebie... i

— Milcz, boś głupi — przerwał mu Antek.

— Nie rzucaj się, bo ci tylko prawdę mówię. Żal mi cię bardzo, że dla jakiejś tam panny służącej z ojcem spory wszczynasz. Co w niej widzisz? Cienka w pasie, jak ośa, blada, zmizerowana. Było czem głowę sobie zawrócić? . . .

— Będziesz cicho, bo dostaniesz!

— Nie miło „grafowi“, że mu prawdę mówię w oczy.

— Gadaj więc do jutra! Ja słuchać cię nie będę.

To mówiąc, rzucił się Antek na dno łódki — derkę pod głowę położył — dłońmi uszy zatkał i przymknął oczy.

Józek, widząc jego przygotowania, już słowa nie rzekł odwrócił głowę i zaczął dumać . . . pewnie o swoim kochaniu.

II.

W osadzie rybackiej było spokojnie, bo tylko w niskich domkach skupiło się życie — panował ruch nieodzowny przy każdym gospodarstwie. Kobiety prały i prasowały — dzieci bawiły się po kątach; zaś starce siedzieli na przyzbie przed domem i robili sieci.

Pięć dni upłynęło, odkąd rybacy wyjechali na połów; dziś właśnie oczekiwano ich z powrotem.

W domu starego Wdzichockiego, ojca Antka (Józef był sierotą), było jeszcze spokojniej, niż gdzieindziej. Pies „Sybir“ leżał pod progiem i wygrzewał się na słońcu, a w izbie, schylony nad książką, siedział Wdzichocki.

Postać to skurczona od wieku — z twarzą pomarszczoną prawie w gzygaki — z bujnemi siwemi włosami na głowie. W kapocie szczelnie pod szyją zapiętej, robił wrażenie dawnego legionisty polskiego.

I był nim w istocie. Służył pod księciem Józefem Poniatowskim i tak uwielbiał Napoleona, że w przystępie wielkiego rozczulenia nazywał siebie Napoleonem IV i płakał, że stary i utrzymać broni nie jest już w stanie, bo inaczej —

mawiał — pokazałby Europie, że co się nie udało Napoleonowi, tego mógłby on dokonać.

Drwiła z niego młodzież osady, ale słuchała z zajęciem długich i nieraz przedziwnie pięknych opowiadań legionisty. Przebacжали mu starsi tę jego słabość Napoleonowską, szanując go dla niezwykle sędziwego wieku i ogólnie znanej życzliwości i ofiarności, z jaką był dla każdego z osadników, a nawet dla obcych.

Czytanie znużyło widocznie starca, bo powstał z ławy — zdjął okulary — schował do futerału, i przed dom wyszedł.

Podniósł się Sybir, kroki swego pana posłyszawszy, — a wywijając ogonem, lizał staremu ręce — patrzył nań swemi mądrymi ślepiami i jakby zrozumiał myśli samotnego starca, zawył żałośnie, pobiegł ku brzegowi i znów wrócił, by polizać mu ręce.

— Poczciwy — szepnął starzec — jak on lituje się nad moją opuszczoną starością.

Nagle Sybir drgnął i pędem pobiegł na brzeg Wisły. Twarz starca rozjaśniła się — doleciał go bowiem gwar wracających z połowu rybaków.

Pożegnawszy się z towarzyszami i swym stryjecznym, szedł Antoś do domu wyprzedzany przez Sybira, który zwiniejszy od niego, zdawał się tem pysznić, że Antosia w tryumfie przyprowadza staremu.

Poznał mądry psina po skrzyni, że połów był szczęśliwy — a i mina Antosia nie byłaby tak hardą, gdyby mu szczęście nie było posłużyło.

— Dobry wieczór ojcu! zawołał Antoś, gdy zdala już spostrzegł starego.

— Dobry! Szczęśliwy był połów?

— Jak zawsze. Dobrze też sprzedać będzie można, bo żydzi mają w tym tygodniu dwa dni świąt.

Antoś poszedł do szopy, gdzie złożył wiosła i derkę — poczem za ojcem wszedł do izby i znużony siadł na ławie, głowę na stół złożywszy.

— Cóż ci to? — spytał ojciec troskliwie.

-- Głodnym i pić mi się chce.

Stary zawołał kobietę, która im posługiwała; wkrótce postawiono przed Antosiem potrzebny posiłek.

Antoś tylko wódki się napił — jedzenia nie tknął.

Stary smutnie patrzył na syna i głową kiwał.

— Nie spytasz, jak staremu ojcu powiodło się przez te dni. Oj, Antoś, Antoś!...

— Widzę, żeś ojciec zdrów.

— A zdrów, jeno radości w sercu nie ma.

— I w mojem jej nie zawiele.

— Sameś sobie winien! Kochać się młodemu wolno, ale zaprzepaścić serce — szkoda! A ty, synu, stracisz rozum, zdrowie i pieniądze przy tem kochaniu.

— Dziękuję ojcu za wróżbę.

— Słuchaj, Antoś! Kiedy żony pragniesz, nie jestem ja od tego. Siostra twoja za mężem daleko, a my we dwóch, jak zakonnicy w domu. I owszem, żeń się..

— Z dziewczką od krów — przerwał Antoś.

— Jeśli doi krowy, to swoje i wstydu jej ta praca nie czyni. To w sam raz żona dla ciebie. Zdrowa, urodą i wesołością i najstarsze serce podbije.

— To się ojciec żeń z nią!

— Zwaryowałeś, chłopcze?...

— Kiedy ojcu tak się podoba...

— Ty mi, smarkaczu, nie drwij! — oburzać się już stary począł — mówię do ciebie po ludzku, to mi głustw nie pleć! Twojej panny w dom mój nie wezmę i błogosławieństwa swojego też wam nie dam! A powinienes wiedzieć, że „błogosławieństwo ojca buduje dzieciom domy“...

Lecz Antoś go już nie słuchał; jak oparzony wybiegł z izby — złapał z szopy wiosło i do swej łódki wsiadłszy, na drugi brzeg się przeprawił.

Na ławeczce u brzegu siedziała młoda dziewczyna, która poznawszy rybaka, żywo z miejsca powstała.

— Dobry wieczór, pannie Zosi! — zawołał Antoś, przybijając do brzegu.

— Dobry wieczór — odpowiedziała mu dziewczyna i podała rękę wysiadającemu.

Jeśli jej figurę przyrównywał Józek do osy, to przesadził mocno: Zofia była bowiem smukłą, lecz dobrze zbudowaną blondynką, o ładnej, blado-matowej cerze z szafirowemi oczami.

— Wyglądasz pan, jakbyś z jakiejś bójki wracał — przemówiła, obrzuciwszy Antosia badawczem spojrzeniem.

— Nie, nie! Proszę o mnie tak nie sądzić. Posprzeżalem się z ojcem i wybiegłem z domu, by tu przy pannie Zosi ochłonać z gniewu, stać się lepszym.

— Dla czego przy mnie?

— Bo panna Zosia może ze mną wszystko zrobić co zechce! Bo jak jestem przy pannie Zosi, to tak jakby mnie Anieli od grzesznych myśli odводzili. O panno Zosiu!...

Miłośnie patrząc jej w oczy, pochwycił jej rękę i całować począł.

Wyrwała mu je, zaczerwieniwszy się mocno.

— O cóż była sprzeczka? — zapytała, aby pokryć wzruszenie, w jakie wprawiły ją słowa Antosia.

— Ojciec chce mnie gwałtem ożenić.

— A pan?...

— Ja?... O, ja... panno Zosiu... nie broń mi swoich rąk... Pamiętasz... będzie temu pięć miesięcy, jak wyratowałem z wody piaska panny hrabianki i przyniosłem tobie na brzeg. Odtąd jakoś często spotykaliśmy się tutaj. Mnie tu serce ciągnęło. Z ojcem mam sprzeczki, bo nie chcę innej, tylko ciebie, i ty będziesz moją żoną, chociaż ojciec nie pozwala. Ale czy ty mnie kochasz?

Co wyczytał z jej oczu musiało być potwierdzeniem jego pytania, bo objął ją wpół i gorące usta do ust jej przycisnął.

— Prawda, że ty mnie pierwszego kochasz — szeptały

usta chłopaka — ty mnie pierwszego całujesz i oni kłamią, mówiąc, że ty się z lokajami wdajesz...

— Antoś! — zawołała dziewczyna z oburzeniem.

— Czy cię to gniewa?

— I ty pytasz?

— Nie płacz — błagał Antoś — ja cię kocham, wierzę ci i szanuję.

Poprowadził ją do łódki i oboje na ławeczce w niej usiedli; on objął jej kibić swem ramieniem — ona głowę pochyliła na jego piersi odurzona miłością.

— Jam nie bogaty — mówił Antoś — ale cię kocham i będę pracował. Jeśli ojciec gniewać się na nas będzie, wynajmiemy gdzie pomieszkanie i poczekamy, aż ojciec ochłonie z gniewu. Może jak cię pozna, i zobaczy, że pracy się nie wstydzisz, przeprosi się z nami, a wtedy zamieszkamy razem.

Zosia smutnie wstrząsnęła głową.

— Nie, Antosiu, ty ojca starego nie opuścisz! Wierzę ci, że mnie kochasz, ale dopóki twój ojciec nam nie pobłogosławi, twoją żoną nie zostanę.

— Boisz się pracować!

— Antoś!

— Gdybyś mnie kochała, nie mówiłabyś tak! Pewnie poznałaś, że niezgoda z ojcem uczyni nas biednymi komornikami, i dlatego się cofasz.

— Antoś, dlaczego mi nie wierzysz? Ja, pracy się nie wstydzę i tych katów obcych mam już dość. Jesteś mi wszystkim na ziemi! Jedyłą myślą o szczęściu, jedynem mojem Kochaniem.

Już się z nią to nie sprzeczał. Usta ich złączyły się w długotrwałym pocałunku — a gdy ramiona się rozplotły, ona zawstydzona wybiegła z łódki i znikła w bramie poblizkiej wili — a on, chwilę jeszcze poczekawszy, odbił powoli od brzegu.

III.

Antoś wstał nazajutrz weselszy i zaraz po śniadaniu wziął się do pracy. Stary Wdzichocki, patrząc na niego roz-

jaśnił twarz, lecz w rozmowie nie poruszył już kwestyi małżeństwa; rozmawiali o połowie ryb, zagospodarowaniu się na zimę, wogóle harmonia była między nimi zupełna.

Wieczorem jednakże nie wytrzymał już Antoś przy ojcu, a skorzystawszy z chwilowej nieobecności starca, wymknął się z domu niespostrzeżenie i na drugi brzeg się przeprawił.

Przybiwszy tam, uwiązał łódkę u pala i usiadł na ławce — będąc pewnym, że Zosia przyjdzie niezadługo.

Zmierzch wieczorny okrywał wszystko dokoła ciemnoszarą mgłą; na niebie zabłysły gwiazdy i świeciły coraz jaśniej. Księżyc srebrzył już fale Wisły — rzucał tajemnicze cienie na mury wili i zaglądał w coraz smutniejszą twarz Antka, który niecierpliwie wyglądał przybycia ukochanej dziewczyny.

Zosi nie było widać. W oczach Antka malował się niepokój i stłumiony gniew.

— Czy ona zdrwiła sobie ze mnie? — pytał się. — Jeśli kocha, powinna była przyjść nad brzeg; a może rozważyła sobie, że nie mogłaby zgodzić się na skromne ze mną pożycie i woli zawczasu zerwać? Cóż tam, że całowała mię i mówiła, że mnie kocha; może ja nie pierwszy. Teraz pewnie żartuje!...

Złe myśli, jak gady, pełzały mu w duszy, wpijały się w serce; rozgoryczony, zły, chwycił za wiosło i wrócił na brzeg przeciwny.

Nie zaszedł jednak do domu; był zły, a wtedy ciągnęło go coś do szynku. Częstował tam każdego znajomego, którego spotkał, a sam pił dopóty — aż rozgorączkowanego i ledwie mogącego utrzymać się na nogach — rybacy zanosili do domu.

Zdarzało się to bardzo rzadko i mimo stanowczo danego sobie słowa, że takie rzeczy już się nie powtórzą, ulegał nieszczęsnej namiętności, nie wiedząc, że kiedyś może się ona stać zgubnym dlań nałogiem.

Tego wieczora hulał Antoś w szynku do późnej nocy; rozbijał szkła — podnosił największe stoły swemi pięknemi

zębami — próbował swej siły, boksując się z drugimi rybakami, aż zmęczony tem wszystkim, dał się ułagodzić i zaprowadzić do domu.

Słyszał stary, gdy syn wrócił; wiedział także o tem, że hulał w szynku, ale cierpliwie zniósł stukanie Antka i słówka doń nie rzekł.

Już jasny był dzień, kiedy Antoś po źle przespanej nocy wyszedł z domu blady, z napuchłymi oczyma — i popłynął z sieciami na ryby. Z ojcem się nie spotkał. Wstyd mu było patrzeć staremu w oczy — poszedł pokryjomu i bez śniadania, byle nie potrzebował usprawiedliwić się przed ojcem z wczorajszego szafu.

Tak bywało przez kilka dni. W każdy jednak wieczór przeprawiał się na drugi brzeg, obchodził mury wili — przełaził nawet przez parkan, by zajrzeć do ogrodu, lecz Zosi nigdzie spotkać nie mógł.

Ogarniał go coraz większy smutek — odbijając od brzegu z powrotem, miał zawsze łzy w oczach.

Razu jednego, kiedy jak zawsze daremnie wyczekiwał ukochanej dziewczyny, spostrzegł służącego hrabianki; a choć mu wstyd było dopytywać się o Zosię uczynił to przecież, bo nie mógł poskromić swej tęsknoty i ciekawości.

— A odprawiono ją, bo z wami romansowała — odparł służący na jego pytanie i napuszony jak paw poszedł dalej.

Tego się Antoś nie spodziewał; błędnym wzrokiem pogonił za postacią służącego, znikającego za bramą wili i długo stał tak na miejscu bez ruchu.

Opamiętał się wreszcie, podszedł do łódki i odbił. Gdy znajdował się już na środku rzeki, rzucił wiosło w kąt łódki, usiadł na ławeczce, twarz zakrył dłońmi, a z piersi jego wydobywały się jęki.

.....
Dopiero nad ranem wrócił Antoś do domu zziębnięty, w mokrem od rosy odzieniu. Całą bowiem noc przepędził w łódce na rzece, szarpany bólem zawiedzionej miłości i wyrzutami sumnienia.

W kilka dni rozchorował się silnie.

W gorączce przeklinał siebie, ojca, przywoływał Zosię miłosnemi słowy i znowu zapadał w stan apatii i osłabienia.

Zwyczajyla jednak silna natura młodzieńca. Po dwóch tygodniach wstał z łóżka i wyszedł przed dom.

Lecz nie był to już ów butny Antek. Cichy, uległy dla ojca — całemi godzinami patrzył przed siebie, nie widząc nic wokoło. Śnać myśli jego były daleko i nie wspólnego nie miały z otoczeniem. Na ryby już nie jeździł. Schudł, zczerniał na twarzy i stawał się coraz smutniejszym.

— Ożeńcie go! — radzili staremu rybacy.

Wzdrygał się stary mówić o tem z synem — lecz ten go uprzedził.

Jednego wieczora, kiedy na dworze ulewny deszcz padał i w całej naturze przebiegał się tak bezgraniczny smutek, że wesołość odbiegała nawet najzwawszych ludzi — Antoś, patrząc na pluszczący o szyby deszcz jesienny, przemówił pierwszy do ojca:

— Zdalaby się nam młoda kobieta w domu! — a po chwili dodał — Podobno ojciec miał dla mnie upatrzoną żonę.

— Skoroś jej nie chciał — rzekł nieśmiało ojciec.

— Wszystko mi teraz jedno, i z tą się ożenię, jak ojcu tak miło.

Nie zważał stary, że syn mówił to z bolesną rozpaczą w głosie. On tak pragnął ziszczenia swych marzeń, mógłże teraz nie cieszyć się uległością syna?

— O, mój Antosiu! — zawołał, przyskoczywszy doń tak żwawo, że trudno było się po nim tego spodziewać. — Synu mój! Jakżem ci za to wdzięczny! Zobaczysz, nie pożałujesz tego! Uszanowawszy wolę moją, możesz się spodziewać błogosławieństwa Boga. Ja ci, synu, cały majątek w dniu ślubu zapiszę. Przy sobie tylko zostać mi pozwolisz i nie pożałujesz łaskawego chleba starcowi. Wszystko ci oddam,

mój synu. Siostrze dasz tylko 200 złr. spłacki. Ona dość majątna. O, Antosiu! Takim teraz szczęśliwy, jak ongi, gdyśmy w Warszawie wystawili naszego orła i byli pewni, że go już nikt nie strąci. Napoleon I był wielki człowiek! Trzeci to był z drewna, ale IV-ty!... O mój synu! Zobaczysz, co to jeszcze będzie!

I z radością w twarzy, ze łzami szczęścia w oczach — ścisnął starzec swego Antka, wzywając Bożego błogosławieństwa na tę głowę, tak kornie zginającą się przed wolą ojcowską.

Antoś nie rozjaśnił przecież twarzy. Pozwoliwszy ojcu poczynić wszelkie przedwstępne formalności, sam o nic nie pytał.

Zalotów nie było. Poważnie, bez radości, odprawiono zaręczny i wkrótce zaczęły wychodzić zapowiedzi.

IV.

Czego się najmniej spodziewano w osadzie i czemu dziwili się wszyscy, to nadzwyczaj dobremu pożywieniu Antka z żoną.

Wszystkie kobiety stawiały go jako wzór swoim mężom, i dla każdej jej własny wydawał się to zamało łagodny, to skąpy dla jej osobistych potrzeb.

To też Antka wychwalały wszędzie i odżałować tego nie mogły, że to nie którą z ich córek, lub siostr spotkało szczęście takie.

Antek sprawił żonie jakby drugą wyprawę, to było dla kobiet dość; nakupił sukien z tunikami, kapelusze, parasolkę, a nawet rękawiczki. Słowem, zrobił z wiejskiej dziewczyny miejską elegantkę.

Sam bardzo starannie ubrany, prowadził żonę do kościoła, a kto by podsłuchał, co do niej wtedy mówił, zdziwiłby się bardzo.

— Jak też znać, żeś krowy doła — szepnął jej nie-

cierpliwie — trzymajże fałdy sukni w rękach, bo całą oszargasz błotem!

Biedna kobieta czuła się tak onieśmiałą, jakby ją kto zmusił wleść do cudzej skóry. Nie śmiała jednak sprzeciwić się mu w czemkolwiek. Owszem, widząc, jak zależy mu na tem, by się stroiła, jak jaka pani, stała się nawet próżną, i całemi godzinami, zamknawszy się w izbie, studyowała przed lustrem, jak podgiąć fałdy sukien — lub przymierzała kapelusze, wiążąc wstążki w nieudatne kokardy.

Nie spostrzegła się ona przytem, jak zaniedbywała gospodarstwo, stając się bezmyślną próżniaczką, admirującą swe własne wdzięki.

Była, co prawda, bardzo ładną — urodą świeżą, młodą, liczyła bowiem lat osiemnaście. Długie, czarne włosy, w jeden warkocz spięte z tyłu głowy, zawsze rozsypywały się koło szyi, nie przyzwyczajone do spinających je szpilek. Oczy miała ciemne, cerę śniadą, o żywym rumieńcu — usta nieco za szerokie, ale za to dwa rzędy drobnych i pięknych zębów.

Było więc czemu przypatrywać się w dużym lustrze i nie dziw też, że mąż tak stroił.

Z tego to strojenia i zazdrości sąsiadek wynioskowała Magdzia, że mąż ją kocha, choć jej tego nie mówi. Nie dziwiło ją także jego dziwne zachowanie się; powiedziano jej, że po chorobie stał się smutnym i zamyślnym — i to jej wystarczyło.

Była zupełnie zadowoloną i cieszyła się, że budzi zazdrość w sercu sąsiadek.

Gdy atoli przeszło pierwsze zdziwienie, a czas zatarł w umyśle osadników nowość osobistości Antoniowej, zaczęto się zastanawiać nad pożyciem młodego małżeństwa, i bardziej pesymistycznego usposobienia wróżyli temu stadłu zły koniec.

Stary Wdzychocki patrzył na to wszystko, wzdychając cicho. Z cierpliwością jednakże, którą starość i bezsilność

przynosi, znosił złe prowadzenie się dzieci, prosząc tylko Boga o upamiętanie.

Po roku urodził się u Antoniów synek. Uczucie ojcostwa zwróciło na jakiś czas myśli Antka na obowiązki, jakie zaciągnął wobec żony. Częściej też jeździł odtąd na ryby, a wolny czas przepędzał w domu, bawiąc się z małym synkiem.

I Antoniowa zapomniała o strojeniu się odkąd dziecię na świat przyszło i wymagało ciągłego zajęcia się niem.

Zajęła się znowu gospodarstwem i to z zapalem kobiety uszczęśliwionej macierzyństwem.

Stary Wdzichocki był teraz zupełnie zadowolniony, ciesząc się, że dał młodym wyszumieć (tak mawiał), nie mieszkając się w ich sprawy. Rozumny i doświadczony, wiedział o tem doskonale, że gdyby im był robił wymówki, wywołałby tylko niechęć i myśl pozbycia się jego cpieki.

Szczęśliwy, że plany jego udały się wybornie, nie życzył sobie niczego więcej, jak lekkiej śmierci, by znów połączyć się z wcześniej zmarłą żoną, którą tak kochał, że zostawszy wdowcem, nie chciał się już żenić, mimo że kobieta w gospodarstwie była potrzebną.

Minęły dwa lata.

U Antoniów przybyła jeszcze córeczka. Stary Wdzichocki nie posiadał się z radości, widząc jak piękne ma wnuczęta i jak zdrową i wesołą — przytem skrzętną gospodynią jest jego ulubiona synowa.

V.

W miejscu, gdzie Antoś tyle razy daremnie wyglądał swojej ukochanej, siedziała o zmroku jesiennego dnia skulona postać niewieścia.

Szczupłe jej ciało, lekko okryte, wstrząsał co chwila

dreszcz febryczny, lecz zdawało się, że nie zwraca na to uwagi, zapatrzona na spokojne nurty Wisły.

To Zosia.

Wyglądała mizernie, a duże szafirowe jej oczy jaśniały niezwykłym blaskiem. W oczekiwaniu, pełnem podniecenia, drżała przed czemś, co sama wywołała, aby raz ulżyć zbolącej duszy.

Zobaczyć go!

Myśl ta nie opuszcza jej — wierzy, że on tędy przepłynie i czekać chce dopóty, aż go nie zobaczy.

Naraz, coraz bliżej i bliżej słyszy uderzenie pojedynczego wiosła o wodę — serce jej mocno bić zaczyna. Gęsto zarosłe u brzegu krzewy, zasłaniają jej rybaka i łódkę — ale ona wie, że to Antoś — inaczej czyżby serce jej tak mocno biło?

I rybak dojrzał może skuloną u brzegu postać kobiety i przeczuł w niej Zosię — oczy jego wpiły się w to miejsce — drżące ręce sterowały szybciej — łódka przybliżała już do brzegu.

Poznał ją rybak, bo z piersi jego wydobył się stłumiony jęk bolesnego zdziwienia.

Stali tak blisko siebie, że on mógłby ją pochwycić w swe ramiona i uciec z nią daleko — ona nie broniłaby się; była w tej chwili jak słaby ptak, zziębnięty, zgłodniały, bez gniazda.

Nie uczynił tego — a nawet ręki jej nie podał.

Ona opuściła ramiona, które była do niego wyciągnęła — schyliła głowę — usta jej zadrżały — a z pod powiek potoczyły się dwie łzy i spadły na wyszarzany, letni płaszczyk.

Podniosła wreszcie głowę i wzrok jej spotkał się z jego wzrokiem w nią wlepionym. Nie wyczytała tam miłości, a przecież podbiegła ku niemu, zarzuciła mu ręce na szyję, pewna, że on ją z miłością przygarnie do siebie.

Ale on lekko odepchnął ją od siebie.

— Mnie nie wolno... odejść... mam żonę i dzieci — rzekł zadławionym głosem.

Szeroko rozwartemi żenicami patrzała na niego, gdy to mówił.

— On ma żonę i dzieci — powtórzyła bezmyślnie prawie, a po chwili dodała: Po co ja tu przyszedłam?

Pod ciężarem tych myśli dziewczyna, niezdolna utrzymać się na nogach, osunęła się na ławeczkę i wybuchnęła spazmatycznym płaczem.

Wtedy on podszedł ku niej, pogladził jej włosy i ledwie dosłyszalnym szeptem wyrzekł:

— Biedni my.

Lecz nagle jakiś kurcz bolesny wykrzywił mu twarz — na czoło wystąpiła krwawa plama.

— Dla czegoś wtedy nie przyszedła? — spytał ostro, a po chwili dodał; — Prawda wyrzucono cię i ty, mając żal do mnie, uciekłaś. Czemu dzisiaj zapóźno wracasz?

— Ja cię zobaczyć pragnęłam — rzekła cicho.

— A dotychczas?...

— Byłam jakby na wygnaniu. Moja pani, dowiedziawszy się o naszej znajomości, oddała mnie na służbę do swojej siostry, która wyjeżdżała za granicę. Nie pomogły moje prośby, by mnie u siebie zostawiła! Ona uczyniła to w dobrej wierze, że tak dla mnie najlepiej, bym się już z tobą nie widziała. Zagroziła mi moim opiekunem, które miał ze mną inne zamiary, cóż miałam robić? Zaraz nazajutrz musiałam wyjechać. Myślałam, że wrócę wkrótce, że się zobaczymy, a wtedy wszystko się wyjaśni. Tymczasem...

— Mów dalej! — przerwał jej.

— Moja pani zabrała mnie z sobą do Włoch — zimę spędziłam potem w Paryżu i choć usychałam z tęsknoty nie mogłam wrócić do kraju, nie znając francuzkiego języka, a i

nie śmiałam pierwsza wypowiedzieć służby. Rok cały przebyłam w Paryżu, ale i po upływie roku jeszcze nie był czas powrotu do kraju. Z Paryża pojechaliśmy do Drezna i gdy znowu rok minął, a moja pani ani myślała o powrocie, już dłużej wytrzymać nie mogłam, spakowałam moje rzeczy i uciekłam.

— Dlaczego nie pisałaś?

— A nacóż by się to zdało? Widać takie już było moje przeznaczenie.

Umilkła.

— Teraz — rzekła po chwili — ja nie wiem co pocznę. Już wrócić nie mogę, a tu żyć...

— Nie przeklinaj mnie! miej litość nad biedną moją duszą. Ty myślisz, że ja o tobie zapomniałam? Zosiu! ja w piersiach miałem piekło, kiedyś cię nie zastał nazajutrz u brzegu. Codziennie daremnie ciebie wyczekując, przeżyłem tu straszne godziny. A gdy się dowiedział, jaki cię los spotkał... Nie pytaj już o nic!... jak pies wyłem tu na tej łódce i ani chłód nocy gorączki rozpachy zgasić nie mogłem. Potem zachorowałem. Kiedy zdrowy już wstałem z łóża boleści, świat wydawał mi się wtedy takim dziwnym, tak mi było wszystko jedno czy żyję, czy miałbym umrzeć i leżeć w grobie, że się nawet ożeniłem. Mógłbym tem zrobić uciechę staremu ojcu, o resztę nie dbałem. Teraz ani mnie życie cieszy, ani tak dręczy, żebym je sobie miał odbierać. Tak było teraz — dodał po chwili — ale tak nie będzie. Teraz piekło poruszy się we mnie — już to czuję!

Umilkł — ponuro patrząc przed siebie.

Na twarzy Zosi odmalowało się przerażenie.

— Jesteś ojcem — odrzekła łagodnie — masz święte obowiązki, nie daj się uwieść szatanowi. Ja ci przebaczam. Los mój okrutny, ale szemrać przeciw Bogu nie będę. Takie było nasze przeznaczenie. Myślałam, żeś mnie zdradliwie porzucił, dla innej zapomniał, przekonałem się, że tak nie jest

i już ci twego spokoju nie zakłóczę. Pożegnaj cię na zawsze i znowu pójdę między obcych wysługiwać się dalej... całe życie. Bądź zdrow Antoś! Dziękuję ci za kilka chwil szczęśliwych i przebaczam cierpienie, któregoś mimowoli stał się przyczyną. Bądź zdrow i szczęśliwy.

Podawała mu rękę, ale on pochwycił ją w ramiona.

Chcesz odejść i życzysz szczęścia — zaśmiał się gorzko, że aż dreszczem ją ten śmiech przejął. — O, ja będę szczęśliwym! Robak, który gryzł moje serce, poruszył się znowu, a teraz nie da mi spokoju. Zosiu! ja cię tak kochałem... tak kocham... słyszysz ja cię kocham, i nic mnie na świecie nie obchodzi!

Okrywał jej usta, czoło i oczy pocałunkami bez końca, a dziewczyna osłabła, odurzona, poddawała się tym pieszczotom, zapominając o wszystkim, co dzieliło ich od siebie.

VI.

W chacie Wdzychockich wyglądała ze wszystkich kątów choroba połączona z zaniedbaniem.

W alkowie leżał stary legionista. Niemoc starości i zmartwienie rzuciły go na łożo boleści, gdzie gaśł powoli — znosząc męki stokroć nad śmierć dotkliwsze.

Ale dla niego i śmierć nie będzie wybawieniem. Poza grób ścigać go będzie widziadło marnującego się syna — żywe sieroctwo wnuków i opuszczenie tej młodej kobiety, która los swój związała z losem jego syna.

— Czy to ten sam ukochany mój Antoś? — zapytywał się starzec całymi godzinami, myśląc o nieobecny synu. — Młody, energiczny, zmienił on się najpierw w powolnego, rozkazom ojcowskim posłusznego syna; pozwolił drugim myśleć za siebie, ożenił się, choć go do tego nikt nie zmuszał. Zostawszy ojcem, ożywił się znowu i wziął, jak dawniej, do pracy.

Od miesiąca zaś, dotychczas pracowity i spokojny, zmienił się w okrutnego tyrana dla żony, w niewdzięcznego dłużnika względem ojca — i tylko dzieciom okazywał niekiedy pewne względy. Brał je czasem na kolana i pieścił; lecz zdarzało się, że nagle odpychał je od siebie — wybiegał z domu i znowu go przez tydzień, a czasem i dłużej nie było w osadzie.

Wracał zaś najczęściej pijany.

— Gdzie przebywał?

We dnie wałęsał się po mieście — wieczorami wyczekiwał u brzegu na Zosię; a gdy ta nieprzybywała, zostawiał łódkę u brzegu, szedł do szynkowni i pierwszej ztamtąd nie wracał, aż dopiero go wyrzucono, zamykając bramę.

Zapomniał on o Bogu i powinnościach względem ojca, żony i dzieci. Przygłuszał sumnienie, i czuł tylko, jak krew wrzała mu w żyłach. Wył z żalu i smutku, a w złości gryzł na sobie odzienię.

Jednego wieczoru, przybwszy do miejsca dawnych z swą Zosią schadzek, wyglądał zupełnie spokojnie. Ubranie na nim było staranne — z twarzy zniknął wyraz dzikiego szalu — widniał na niej tylko najgłębszy smutek.

On jej oczekiwać tu przyszedł i ubrał się staranniej, bo jakiś głos, co o drżenie go przygotował, szeptał mu ciągle: ona dziś przyjdzie.

Przyszła. I jakby go się spodziewała, żadnego nie okazała zdziwienia. Powolnym krokiem zbliżyła się do łódki i cichym pozdrowiła go głosem.

Zerwał się; głos jej posłyszawszy.

— Zosiu!... Nareszcie!..

W objęcia chciał ją pochwycić, lecz wstrzymała go gestem tak nakazującym, że zawstydzony i zrażony, cofnął się o dwa kroki.

— Antosiu, ja tu nie przyszedłam po miłosne pieścizny. Zasłyszałam, jakie ty teraz życie prowadzisz i chcę rozbudzić

Męty.

twoje sumnienie. Jeśliś Boga z serca nie wyparł, to wróć do żony i dzieci, pracuj jak dawniej.

— O — przerwał jej dziko. — Czy ty myślisz, że mi nie żal tych moich biednych dzieci, które jeszcze o niczem nie wiedzą, a ciebie, czy mi nie żal? I tej kobiety, która została moją żoną, żal mi. Żal mi was wszystkich i dla tego zginać, zmarnieć chcę, bo nikomu pożytku nie będzie z mojego życia. Mnie żal dusi i dławi i z żalu ja piję. Słyszysz, Zosiu?... Ja piję! Dla czego ty mi każesz wrócić do mojej żony? I ty powinnaś żałować twego zmarnowanego życia, bo i ty jesteś nieszczęśliwą. Czy ty nie czujesz, jak ja, że my dla siebie stworzeni? Czy ty nie żałujesz mojej i twojej młodości?

Ujął ją silnie za ręce i patrzył w oczy, co powie.

— Nie żałuję jej — odparła dziewczyna z mocą — chociaż dalej jeść będę gorzki chleb cudzy. Losu nie przeklinam, chociaż zawsze srogim był dla mnie. Bogu w pokorze się kłaniam i dziękuję Mu za czystość duszy. I ty, Antoś, sumienia swego nie gub! Czy ty myślisz, że mnie serce nie boli? Czuje, jak się tam coś rwie i jęczy, ale ja tego głosu słuchać nie chcę. Ja szczęścia dla ciebie pragnęłam i raj u na ziemi, a jeśli Bóg inaczej zrządził, my nie bluźnijmy. Antoś, zrób to dla mnie i bądź takim, jak dawniej! Niech mnie nie prześladuje twój obraz, jak duszę twoję i godność człowieka tracisz. Mnie twój stary ojciec, twoja żona i dzieci przeklinać będą. Antoś, miej litość nademną, nad sobą, nad twojemi biednemi dziećmi! Bądź im ojcem, bo ja wiem, jak sieroctwo boli!...

— Ty już nie kochasz — przerwał jej — więc mówisz o obowiązkach! W mojej duszy wre! Ja nie chcę darować zmarnowanej mojej młodości i na swoje sumnienie brać tego nie potrzebuję, że teraz jestem jako wściekły pies! Takiego życia ja sobie nie życzył. Niech za to ojciec mój przed Bogiem

odpowie. Ja mścić się będę za twoję i moję młodość i uczucia naszego sponiewieranie.

— Antoś! — wyrwało się bolesnem łkaniem z piersi dziewczęcia.

— Cicho — szeptał, zbliżając się do niej — nie mów już nic! Tyś moja! Świat mnie nie obchodzi. Bóg mnie nie obchodzi, a z ludzi drwię sobie!...

Ujął ją w pól i nie zważając na jej okrzyk grozy i szamotanie się, poniósł ją do łódki i prędko odbił od brzegu. Wtedy wiosło w kąt rzucił i przed nią ukłękawszy, całował jej ręce, zaklinając ją miłosnymi słowy dopóty, aż łkać przestała.

— Ja tobie wierzę i ufam — błagała dziewczyna — ale przybij napowrót do brzegu.

— Ja cię kocham... nie bój się... nie bój się, nie — powtarzał on bez upamiętania, ustami zawisłszy na jej rękach.

Łódka płynęła powoli — księżyc srebrzył rozwiane włosy Antosia i czarodziejskiem światłem otulał postać Zosi — gwiazdy mrugały, lecz smutnie — a w oddali, jedna spadła z niebios szybko i znikła bez śladu.

VII.

Nad Wisłą unosiła się mgła i owiewała niskie domki rybaków tajemniczym welonem.

Osada, zda się, spała jeszcze, cisza panowała bowiem przed domkami i u brzegu.

Lecz nagle ciszę tę przerwał głos dzwonka, a był on tak słaby, że echo jego doszło tylko do chaty Wdzychoczych.

Stary legionista oczekiwał księdza z św. Sakramentami.

Czuł on, że umiera, że sił coraz mu braknie, a jednak tak ciężko mu było rozstać się z życiem!

— Magdziu — ozwał się łagodnie do klęczącej obok kobiety — obudź dzieci.

Synowa chciała spełnić to życzenie, lecz zatrzymał ją skinieniem.

— Antoś nie wrócił? — spytał cicho.

— Nie wrócił — odpowiedziała smutnie.

— Nie będę go już widział — szepnął starzec. — A może da Bóg zmiłowanie i duszy nie zabierze, póki okiem nań rzucę. Magdziu — rzekł głośniejszym głosem — prawda, on był dobry dla ciebie, marnego słowa nie rzekł ci nigdy. Ty przebac mu teraz, a do mnie żalu nie miej. On twego posagu nie naruszy, a jak hula, to za swoje. Co straci, zarobi znowu. Szał jego przejdzie, zobaczysz! Mówią, że za jakąś miejską panną się ugania, ale nie wierz! On do ciebie wróci. Ty mu wiary dochowaj.

— Jam wiarę i miłość przed Bogiem przysięgła — przerwała młoda kobieta — a teraz on taki. O, ja ztąd pójdę, ino was zostawić nie mogłam, ale gdy was już nie będzie, ja tu nie wytrzymam. Dotąd na życie daje, bo trzeba dla was, ale czy ja wiem, co dalej zrobi? On jeszcze z tą panną gdzie ucieknie. Albo może mnie ztąd wyrzuci.

— Cicho, Magdziu; w Bogu miej nadzieję, a krzyż zesłany znoś z chrześcijańską pokorą i cierpliwością. Ja, Napoleon IV, daję ci słowo, że wszystko będzie lepiej, jak było. Wyjmij moje medaliony... dam wnukowi... wnukowi... niech wie... niech będzie takim, jak ja... niech broni matki... gdy ona będzie w potrzebie... Wychowaj go tak, bym tam wstydu zań nie miał... pamiętaj, że to wnuk Napoleona IV... Idź.... Magdziu.... zbudź dzieci.

Magda wyszła; u progu spotkała księdza; wpuściła go do alkowy i drzwi dyskretnie za sobą przytknęła.

Na twarzy jej smutnej znać było ślady łez i nieprzespanych nocy. Pokorna, uległa, spełniała swoje obowiązki sumiennie; dla męża, gdy tenże przychodził do domu, miała zawsze życzliwe słowo i niczem nie dała mu poznać, że czuje się pokrzywdzoną.

Postępowała ona według wskazówek i rad starca, mając do niego nieograniczone zaufanie. W chwilach tylko znużenia i zniechęcenia, skarżyła się przed ojcem męża, ale dalej, jak on kazał, dźwigała krzyż cierpliwie.

Kiedy w osadzie się dowiedziano, że ksiądz był rano u legionisty, kilku starszych rybaków i kobiet pośpieszyło tam, by pożegnać starca i pocieszyć młodą kobietę. Nie zastawszy Antka, oburzali się głośno; mężczyźni zaciskali pięści, kobiety popłakiwały, lamentując nad dolą Magdzi.

Ciężkie skonanie miał stary legionista; starzy rybacy mówili, że umrzeć nie może, dopóki Antka nie zobaczy.

Kilku młodych chłopaków poszło do miasta szukać marnotrawnego syna.

— Antoś — szeptały zsiniałe usta starca — ty jej nie opuścisz... widzisz... ludzie ci złorzeczą... ale ty mój syn... oni cię będą błogosławili... chociaż cię tu nie ma... błogosławię cię... Magdziu... dawaj małego Antosia i Marnię... tak... bliżej... moje dzieci.

Starzec wychudłą rękę wyciągnął w stronę małych dziecięcych główek, a zsiniałe usta szeptały słowa błogosławieństwa ostatniego.

Gdy dzieci się odsunęły, zwrócił swe zamglone źrenice w stronę otaczającej go gromadki i ręką znak krzyża nad nimi robił. Mówić już nie mógł; zamglone jednak źrenice ciągle zwrócone na drzwi, świadczyły, że czuje nieobecność syna przy sobie, że go oczekuje, i że w tem oczekiwaniu dusza opuścić ciała nie chce... nie może.

Długo tak leżał bez ruchu, a członki coraz bardziej się wyprężyły.

Obecni pokłękli — Magdzia wetknęła w ręce umierającemu poświęconą gromnicę — lecz zeszywniałe palce wypuściły świecę, która zgasła i potoczyła się z łoskotem na ziemię.

Starzec skonał.

Antosia w domu nie było.

VIII.

Pogrzeb starego legionisty zgromadził u progu domu żałoby całą osadę rybacką.

Na twarzy zgromadzonych groza śmierci i współczucie mieszały się z wyrazem pewnego napięcia, oczekiwania, czegoś niezwykłego, co miało koniecznie nastąpić; i chybaby pożar, lub powódź zmusiły zgromadzonych do rozejścia się.

Wszyscy mieli oczy zwrócone na Antosia, który jakby z brązu ukuty, stał u podnóża katafalku. Błady był strasznie i nikt od dnia wczorajszego, odkąd wrócił, nie usłyszał, by przemówił do kogo, lub zapłakał.

— Gdzie przebywał, że go nie było przy umierającym ojcu? — pytano wokoło.

W obec śmierci rodzica nie okazał ani boleści, ni zdziwienia, a przecież wiadano, że ojca szanował i kochał, że w gruncie nie był złym człowiekiem.

Pytali o to jedni drugich, ale odpowiedzieć na to nikt nie był w stanie. Antoś zaś, jakby mu kto pieczęć milczenia na usta złożył, nie otwierał ust, ani zważał, że wokoło niego szepcą coraz głośniejsze.

Pogrzeb starego legionisty odbył się poważnie; dwóch księży prowadziło kondukt, a za trumną kroczył Antoś, trzymając na ręku starszego synka, obok zaś szła Magdzia, płą-

cząc cicho. Za nimi i obok nich, bliżsi krewni, a dalej wszyscy z osady i znajomi z miasta.

Nad grobem była nawet mowa, a z powrotem do domu i stypa, jak się przynależy. Lecz gdy widziano, że Antoś ani sam pije, ani do picia drugich nakłania i milczy zawzięcie — ten i ów, pobywwszy chwilę, opuścił chatę Antosiów i do swych zajęć powrócił.

Antoś został sam z żoną i dziećmi.

Magdzia sprzątała — dzieci bawiły się w kącie. Antoś nieruchomie siedział na ławie przy oknie i ani razu na żonę nie spojrzał.

Gdy już w izbie zupełny zmierzch zapadł, powstał z ławy i do żony się zbliżył.

— Słuchaj — przemówił do zdziwionej Magdzi — zgrzeszyłem bardzo... i względem Boga i ludzi. Od wczorajszego dnia zaczęła się dla mnie pokuta. Gdzieś był, nigdy się nie dowiesz; powiedziałem wszystko księdzu na spowiedzi; ludziom ni tobie wiedzieć o mojej tajemnicy nie potrzeba. Bądź tu gospodynią i nadal, dzieci pilnuj; ja na ryby będę chodził i wszystko, co zarobię, dam tobie. Jeśli dla ciebie nie będę takim, jakimi są inni mężowie dla żon swoich, to i tak nie uciekaj, bo krzywdy nie doznasz, a dzieci opieki twojej potrzebują.

Nie oczekując odpowiedzi, wyszedł.

Magdzia, przebudziwszy się w nocy, słyszała jak wrócił do izby i w alkuwie spać się położył.

Wiedziała o tem, że cały czas przesiedział na przyzbie pod oknem.

Odtąd rozpoczęło się u nich życie jednostajne, spokojne, zupełnie takie, jak na początku ich pobrania się.

Było w osadzie dużo o tem gadania. Antoś, albo na to nie zważał, albo go to nie obchodziło, bo spotkawszy kogo przemówił grzecznie, acz chłodno i w dysputy się nie wdawał.

Do karczmy, lub szynkowni nie szedł nigdy, natomiast,

co już w najwyższym stopniu zdziwiło osadników, zaprenumerował gazetę, skupował książki i czytał tak wiele, że ten i ów ze starych rybaków splunął na to, a nakładając świeżego ognia do fajki, mówił pogardliwie:

— Na grafa Antoni choruje! Ale ino patrzeć, jak jego państwo djabli wezmą! Lada dzień bank wystawi mu grunta na licytacją.

Stało się tak w istocie, bo Antoni posagu żony naruszyć nie chciał, a zmarniawszy sam, wypuścił z rąk grunta, lecz przysiągł przy świadkach, że pracą własną znów je nabędzie.

Pracował też gorliwie i wkrótce nie było już w osadzie nikogo, ktoby wątpił, że słowa nie dotrzyma.

Przyzwyczajono się już bowiem widzieć Antoniego takim jakim jest i ani nie pamiętano, że było inaczej.

Stał się on doradcą w potrzebie — opatrnością dla biednych i wybawcą tonących.

Najodważniejszy z rybaków, rzucił się w najgłębszy wir, gdy posłyszał, że ktoś tonie. To też kilkanaście razy wynagradzany przez magistrat miasta, nabył takiej sławy, że gdy pokazał się w mieście, panowie zapraszali go do cukierni na herbatę — a panie wskazywały go sobie jakboby bohatera.

Magdzia, acz niezupełnie szczęśliwa, żyła przy nim spokojnie, bo z natury uległą była i dzieci ukochawszy, na nie zlała całą miłość młodego serca.

Raz tylko wyszła z swej biernej roli i spytała męża, czy to prawda, co mówiła Kasia, żona Józka Wdzieckiego, że on na brzegu Wisły postawił krzyż swojej dawnej kochance. Wtedy Antoś popatrzył na nią surowo i tylko milczeć jej kazał.

Skończyło się więc na tem; Magdzia nie wspominała już mężowi o plotkach w osadzie, a z obcych niktby się nie ważył wspomnieć Antoniemu o przeszłości.

Sami między sobą szeptali o tem, jakoby Antoś własnymi rękami pochował dawną swoją kochankę, która z rozpaczy, że pogodził się z żoną, utopiła się w Wiśle.

Tak mówią, lecz prawdę, prócz Antosia, zna tylko Bóg i ksiądz, któremu się wypowiadał Antoś po owej nocy, która była dla niego i rajem i piekłem zarazem. A i ta łódka jego — wierna towarzysza życia — milsza niż żona — gdyby ona mówić mogła — powiedziałaaby, jak na tej łódce, spleconych w miłosnym uścisku, płynęło ich dwoje... daleko. Potem, ona wywróciła łódkę, chcąc umrzeć, a on walczył o nią z falami dopóty, aż zziębły, znużony, dopłynął do brzegu — ztamtąd wziął czyjaś łódkę i znowu szukał jej wszędzie.

Nie odszukał jej... zniknęła...

Znalazł tylko łódkę swoją i z nią na brzeg wrócił... innym zupełnie, niż w chwili, kiedy ztąd odbijał.

K O Ń I E C.



462822

linder

Biblioteka Uniwersytecka w Olsztynie

462822

zs:J4.400

spuścizna prof. Jana Wróblewskiego



1022561H